

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

S. IGNAR — Święto ludowe W. MACIĄG — O prozie M. Konopnickiej
W. SOKORSKI — Podsumowanie na Zjeździe Bibliotekarzy P. CHMURA — O zespolach...
A. WITKOWSKA — Sprawa „Tytoniu”... A. DRAWICZ — Ludzie, którzy zdobyli Fragala
J. STAWINSKI — W walce z najazdem na Europę A. STIL — Amerykanie do Ameryki
T. ROZEWICZ — W miasteczku Tainhanya L. SZCZEGODZIŃSKA — Dórzec do czytelnika
G. TIMOFIEJEW — Czytelnicy radzieccy o książkach

Rok IX

Warszawa, dn. 8 VI. 1952 r.

Nr 23 (357)



Wiceprezes Ignar dekoruje Złotym Krzyżem Zasługi Marię Sowinę za bohaterski udział w strajkach chłopskich.



Święto Ludowe w Łapanowie.



Wiceprezes Ignar dekoruje Jakuba Jakubowskiego Srebrnym Krzyżem Zasługi.

JAN MARIA GISGES

M A Ł A K A S I N K A

Dawny dzień

„Do bogatych szedł komornik na znojny odrodek.
Miesiąc musiał odpracować za pszeniczny snopek.

Przyjdzie wieczór — piją wodę głodne, wyschłe usta.
Piec jest zimny, garnek pusty i szafka jest pusta.

Ścieżką albo drogą wracał z jarmarku chłop bosy.
Sprzedał jajek kilkanaście za niewiele groszy.

Józef zapalną ostrożnie na czworo rozdzielał,
a zapalał raz w tygodniu lampkę — przy niedzieli.

Gdy z biednymi sąsiadami strajk ogłosił chłopski —
zginął. Padło wtedy wielu. Płacz płynął przez wioski.”

W złotym świetle elektrycznym złoci się włos syna.
„Pora spać iść, mój chłopaku, już późna godzina.”

Ulotka

Ślady na dloniach splekanych
jak gołębie na krakowskim rynku
wieści — kartki niewielkie,
by potem białe rozwinąć skrzydła
i krążyć w opłotkach bez odpozynku.

Czasem zjawiał się tajemnie
gość przed wieczorem
wieść — kartka niewielka.
Wtedy niejedną ujrzał sąk dolę
i drogi chłopskiej męki.

Pod stropem rozkaz się jak światło rozpinał
i zniknął przyniatający jak kamień cień —
„Walcz nieugięta, zwrata gromado!
Walcz o swe prawa, o jasny dzień!”

Czy to drzewa pień
w ten wieczór wolno się kotłuszę?
Czy to obcy cień,
co w polu zagubił ciszę?
Księżyc szpicał spomad strzechy patrzy
z kim się Józef spotkał —
Kapie wieść kropkami przy furtce,
głos dloni ciepła wsuwa się w zanadrze —
ulotka.

Groźna, zrodzona w gniewie
szybką starością zmięta,
gdzie ginie — nikt nie wie —
Jest w pierwszej linii ataku.
Nie znajdziesz jej grobu
jak nie znajdziesz miejsca śmierci ptaków.

Opowiadanie Jamroza

Wsie ocknęły się w trzydziestym drugim.
Nie wiatr przez pola pędził i wiał.
Chłopi podnieśli pięści jak grude,
gniew ich nad krajem jak płomień drgał.

Nie wiatr przez pola pędził i kurzy.
Łącznicy gnają od chat do chat —
Gromada się zbiera jak chmury na burzę.
Józef cisnął słowem — kamień spadł.
— „Pościnać słup! Świerki pościnać!
Rozkręcić szyny! Rozebrać most!”
Nadeszła biała świta godzina —
I z barykady grzmi ludu głos.

Strajk się rozpoczął w Kasince Małej.
Zanim na wieś nastąpił mógł szturm,
zanim słońce zza góry wyrzuciło
polcję zbrojną zagroził tłum.
Ślekiery w dloniach i dubeltówki,
noże na kijach i kosy na sztorc —
Gromado chłopów Naprzód! Na wroga!
Pięść uzbrojona — tu buntu lont.

Goście

Już sroczka na płocie skrzeczy.
Jadą goście do wsi, jadą —
granatowi w stalowych hełmach
wiozą śmierć w samochodzie.
Wieś gości się tych spodziewa,
więc w przejmującym chłodzie
straże stoją strajkowe
na gościńcu przy wodzie.
Obłok wyrasta nad jarem,
straże go widzą jak rośnie.
Wieści padały na strzechy
jak krwawe iskry pożaru.
Obłok przy wsi szarej skraju
burą zatrzymał się kulą.
Wychodzą zeń czwórki mundurów
i kryja się noza ruczajem.
Błękitna woda
jak oczy dziecka,
które nad tobą stanęło —

Wodo potoku,
srebrny ruczaju
na fali twej niebo płynęło.

Dzisiaj, choć niebo jak dawniej nad tobą,
olszyna i wiejskie ogrody,
zobaczysz twarze te same lecz inne,
czerwone potoczysz wody.
Policjant się dzisiaj do chłopca zmierzy
i dzień kulą utkwii w pamięci.
A ty niby jęk czarnej wdowy
będziesz płynąć i na kamieniach dźwięczyć —
wodo potoku,
gniewny ruczaju,
w którym się ręce i broń przeglądają —

Krwawe ściernisko

W dolinie rzeczki zaległo milczenie.
Straże przy moście stały jak posagi
broniące wstępu na padół biedoty.
Oczy policji notowały twarze
i niespokojnie zerkając ku górze
co chwila w lekko sprawdzają karabin.
A gorą leci nie tykając ziemi
Józef i rumak jeden tworząc wicher —
Józef naokół jak duch okolicy
pędzi do braci uskrzydłony buntem

I gdzie iskrami sypnie nienawiści
wybiega żagiew płonąca naprzeciw —
Iniana koszula uzbrojona w wolę
walki o swoje i w to, co ją boli.
Dudni wysoko tratowane rżysko
i tętni wzgórze jak puls przy gorączce.

Szczytem zleonym ciemnieje lawina
coraz to większa i coraz groźniejsza.
I od tej chwili wieś wstępuje w dzieje,
w których badacze nie znajdują imienia
Kasinki Małej i jej rewolucji.
Drzewiej groziło Podhale koronie,
i z Komorowskim wiodło bój zacięty
o przywileje i prawa swobody —
Łętowski pierwszy, a potem Napierński
przeszli przez dzieje krwawymi krokami,
lecz nie przekazali nam skryba szlachecki
góralskich imion z Kasinki Małej.

Kobiety z trwogą patrzyły zza firanel
to na gromadę nędznie uzbrojoną,
to na olśniewającą łufami.
Dzieci skulone po kątach zawodzą,
psy w budach skryte przerażliwie wyją,
kominny chaluń dymią — nie dymią —
I tylko lekka niebieskawa mgielka
nad rzeczką w krzewach snuje się zleonych.

Żona Józefa dziecic niosąc w łonie
pierwsza wybiegła ciekawa na drogę.
Za nią sąsiadki.

Tyczasem policja
sunie pod górę jak czarna gadzina,
wije się, kręci, oskrzydla lawinę,
po drodze trafia na kepe żon, matek,
podnosi palki, które nazwał Szenwald
palkami krzywdy. Krzyk podpalil drzewo,
„Bij kobiety!” — Runęła lawina.
Nie huczy groźna, milcząca się zsuwa,
toczy się, płynię po szarym ściernisku
ostrym jak noże powbijane w ziemię.
Waż granatowy ześliznął się szybko
i nad ruczajem nabrzmiął szeregami.
I oko w oko stanęli wrogowie.

Komisarz ostro wydaje komendę:
„Bieć!” — Chłopi milczą, w dłoń biorą kamienie.
Czterech z policji chciało bić kolbami,
ale upadli. Nie doszli. Bo ręce
wznieśliście gradem spłynęły kamieni.
„Strzelec!” Zagrzmiała salwa i ogłuchym
echem kilkakrotnie wróciła od wzgórz.
Lamie się linia zebranej gromady.
Dziewięciu padło, Józef między nimi,
lecz oczy są jak pociski —
Koi oszalały popędził w przestrzenie —

Żona Józefa rozpacz wiedzioną
rzuci się, placze. I walczy pięściami,
lecz policjanci cisnęli ciężarą
na ziemię, butem podkutym zdeptali.

I oto leżą na pustym ściernisku
podcięte kłosa przemocą zmiążdżone,
Kasinka Mała jak liść przestrelony
młodej olszyny, liść ze skrawkiem nieba,
choć rana krwawi i bluzga bółem
chusty umaczaj we krwi swoich synów
i nieś ten sztandar na barykady.

Ci co padli — dla naszej padli sprawy!

Elegia

Dziewięciu synów — zwalone dęby —
Dziewięciu synom krew do piersi przypięto —
Dziewięć matek płacze nad wodą,
ciała osłania chustami,
w których tuły niemiowłeta.

Matkom ciała odebrano
i na samochód wżrucano,
w koleinie struga krwi skrzepnięta.
A nad drogą czarne ptaki,
i pyla: — posągi rozpacz
i oszale od bólu pęknięta.

Ale nocą ponurą
razem z liści wichurą
przywieziono ukradkiem zwłoki,
Cmentarz wyl. drzewa zginał
Jakby zbrodnię przeklinał.
Milkły uciekających kroki.

Przyszedł dzień. Cmentarz stary
czerną zakwitł chmurą,
groźba stała w tysiącnych spojrzaniach.
Skłoniły się sztandary.
Pięści w górę!
Nad zwłokami przysięgi runęły z plomienia.

Dziewięciu synów — zwalone dęby —
Dziewięciu synom krew do piersi przypięto —
Dziewięć matek zabrało chusty,
w których tuły niemiowłeta.

Z odezwy KC-KPP

„Wspaniale zademonstrowana 15 sierpnia Jedność
czynu robotniczo-chłopskiego musi zostać w obec-
nej chwili ciężkich zmaganiach chłopskiego leśce
bardziej umocniona. Zrozumieli to dobrze robotnicy
i pracownicy dziesiątków miast i miasteczek Lubel-
szczyzny, Kielecczyny i Małopolski, którzy strajka-
mi solidarnościowymi poparli walczących braci
chłopów.
Zrozumiał to proletariar Krakowa, który 25 sierp-
nia powszechnym strajkiem demonstracyjnym wy-
powiedział się za wspólną walką ludu całej Polski.”

Rok 1952

Już sroczka skrzeczy na płocie,
jadą chłopcy z miasta, jadą.
Białe od pyłu stokroci,
bukietem do wsi przwiada.
Kiedy siewniki, żniwiarki
naprawią już monterzy,
wieczorem przy stole siada
ze wsią spożyją wieczerzę.

Jan Maria Gisges

Łapanów, Nisko, Jadów, Nowosiółki...

Oto tekst artykułu Bolesława Bieruta sprzed 20 laty.

Wzmoc pracę na wsi!

„Jesteśmy świadkami coraz silniejszego wzma-
niania się wrzenia rewolucyjnego w masach chłop-
skich w Polsce.

Demagogia „opozycyjno-ugodowa i złudzenia
słane w głowach chłopów przez przywódców „ludo-
wych“, znajdują coraz jaskrawsze zaprzeczenie w
ponurej rzeczywistości życia chłopskiego: w rekwi-
zycjach egzekutorów podatkowych, samowoli stu-
pajek policyjnych, w coraz to bezwzględniejszym
wyzysku karteli i syndykatów kapitalistycznych, w
obszarniczo-kułackiej polityce rolnej rządu faszys-
towskiego. Doprowadzone do niesłychanej nędzy
i rozpacz przez nieokiełznany i coraz to bezczel-
niejszy wyzysk i rabunek rządu obszarników i ka-
pitalistów, chłopstwo pracujące coraz bardziej zde-
cydowanie zwraca się w stronę klasy robotniczej,
aby z rozwijających się jej walk masowych czer-
pać wzór oraz nadzieję swego wyzwolenia.

Wymownym potwierdzeniem tego procesu są
coraz częstsze wystąpienia rewolucyjne na wsi (Ła-
panów, Nisko, Jadów i inn.), które w czerwcu i lip-
cu br. przybrały w Małopolsce charakter szerokie-
go powstania chłopskiego, organizującego teren
kilkunastu powiatów. Odgłosy tego powstania po-
wzorzyły się wkrótce w innych zakątkach kraju
(Nowosiółki, Piasek Wielki).

Masy chłopstwa pracującego coraz szerzej i jaś-
niej uświadamiają sobie, że warunkiem wyzwolenia
mas pracujących z okowów ucisku i tyranii fa-
szystowskiej jest wspólny front rewolucyjny chłop-
ów i robotników. Klasa robotnicza winna czynić
wszystko, aby — wbrew wysiłkom wodzów ludo-
wych — rewolucyjny sojusz robotniczo-chłopski
wzmocnił się i utrwalał.”

Bolesław Bierut

(Czerwona Pomoc — grudzień 1933)



Fragment Święta Ludowego w Łapanowie



Przemawia chłop, Ludwik Mrozek — uczestnik strajków chłopskich.

STEFAN IGNAR

ŚWIĘTO LUDOWE

W imię czego masy chłopskie powiatu bocheńskiego, Imanowskiego i mysieńskiego tak licznie ruszyły na pierwszy obchód Święta Ludowego do Lapanowa? Jaka była przyczyna tego, że na apel Stronnictwa Ludowego odbyły się w całej Polsce manifestacje setek tysięcy chłopów?

Rok 1932 w Polsce był to trzeci rok ciężkiego kryzysu gospodarczego, który już się nie skończył do samego upadku polskiego państwa kapitalistycznego. Skończyły się możliwości emigracji, która stanowiła jedyną drogę ucieczki przed głodem, zwłaszcza dla najbardziej ubogiej ludności wiejskiej Małopolski. Produkty gospodarstwa chłopskiego spadły poniżej opłacalności, a równocześnie trzeba było wszystkich wyprzedzać na spłatę długów, procentów i podatków. Po wsiach grasowali sekwestratorzy i wyciągali ostatnie cięgi z obory i ostatnią poduszkę spod głowy. Chłopi przestali nabywać narzędzia rolnicze, maszyny i nawozy, naftę, zapalki i sól. Za bibułkę do machorki trzeba było płacić dwa jajka. A obszar, korzystając z katastrofalnego przeludnienia wsi, obniżył zarobki fernalskie do 60 groszy za dzień pracy.

Burzyła się młodzież w kotłach zniczowo-wielowych, buntowali się chłopcy zorganizowani w Stronnictwie Ludowym, gniew nurłował w masach chłopów. Coraz więcej świadomych chłopów dochodziło do przekonania, że byt chłopski można poprawić jedynie poprzez obalenie znieprawionego rządu sanacyjnego, bo rząd ten ochraniał obszarników i fabrykantów, tuczył ich kosztem głodnych robotników i chłopów. Młodzież wiejska rozumiała, że może zdobyć ziemię, pracę i oświatę tylko wtedy, gdy nastaną rządy robotniczo-chłopskie. W kotłach wielowych było coraz więcej zwolenników współpracy z bezpartyjną robotniczą i z rewolucyjną, zepchniętą w podziemia partią proletariatu.

Po roku 1932 przyszły następne lata coraz bardziej wzrastającego ucisku. Chłopi i robotnicy występowali z jeszcze ostrzejszymi protestami, bo i ślepy już wtedy widział, że sanacja zaprzęga Polskę Hitlerowi. Wtedy nie chodziło już chłopom tylko o ziemię i

Fragment z przemówienia na Święcie Ludowym w Lapanowie.

WŁODZIMIERZ MACIĄG

chleb, ale o ratowanie Polski. Zbrodniczy rząd Piłsudskiego i Rydza stawali się coraz bardziej narzędziem zabójczy polityki Hitlera i prowadził do utraty niepodległości. Dlatego też obchody Święta Ludowego, strajki i manifestacje zjednoczyły lud do walki przeciwko rządowi obszarnczo-burżazyjnym, ponieważ rządy te nie tylko spychały chłopów i robotników do stanu najgorszej nędzy, ale że były to rządy zdrady narodowej i sprzedawczyków Polski.

Wśród ludzi co stali wtedy na czele Stronnictwa Ludowego na próżno byście szukali takich, którzy by się zdecydowali na obalenie rządów ucisku. Nie było takich. Starali się oni łagodzić gniew chłopski i rozładować wólg walki. Starali się trzymać ludność wiejską z daleka od robotników. Wmawiali im chłopów, że dadzą sobie radę sami, bez sojuszu z klasą robotniczą. A to była nieprawda. Sanacja była zdecydowana przy pomocy krwawego terroru utrzymać się za wszelką cenę przy władzy i jedynie zgodna siła ludu pracującego miast i wsi mogłaby ją pokonać.

Prawicowi przywódcy Stronnictwa Ludowego dlatego łagodili walkę chłopów z sanacją, ponieważ byli obrońcami ustroju kapitalistycznego i tak samo jak kapitaliści bali się wzrostu rządu robotniczo-chłopskiego. Byli jednak zmuszeni udawać przed działaczami powiatowymi i gromadzkimi, że chcą walczyć o sprawę ludu. Ale ich postępowanie zaprzeczało temu co głosili. Po wielkim i krwawym strajku chłopskim w 1932 r., który zachwał fundament rządów sanacyjnych, chłopi postanowili przeprowadzić wspólnie z robotnikami strajk powszechny na wsi i w mieście i parli do ostrego wystąpienia. Uchwała o nowym strajku została jednogłośnie podjęta na Wielkim Kongresie Stronnictwa Ludowego w Krakowie w lutym 1932 roku. Przypominam o tym, bo sam byłem na tym Kongresie tak jak i wielu z was, którzy jesteście tu obecni i wszyscyśmy za strajkiem głosowali. I co z tą uchwałą zrobiła prawicowa góra Stronnictwa? Przez pół roku studiowała i rozładowała bojowe nastroje chłopskie, używając do tego rozmaitych sposobów. Owczesny w-przes NKW Stronnictwa Ludowego Mikołajczyk zwołał w Krakowie odprawę wojewódzkich działaczy i nakazał im, aby na zebraniach chłopskich tłumaczyli, że

strajk i tak nie da, więc jest niepotrzebny, a nawet szkodliwy. A na koniec Mikołajczyk wydał okólnik zakazujący pochodów i manifestacji w dniu 15-go sierpnia, w którym to dniu miał się zacząć strajk. Podobną akcją przeciw-strajkową przeprowadził Pużak w PPS. W ten sposób uchronili od upadku sanację i ułatwili Rydzy wzięcie przy boku Hitlera udziału w rozbiore Czechosłowacji.

Kiedy dziś z odległości minionych 20-tu lat oceniamy bohaterką walkę chłopów polskich, a szczególnie tu — w Małopolsce, w województwach krakowskim i rzeszowskim, to wyraźnie widzimy, że była to walka o najwyższe interesy narodu, walka w obronie niepodległości sprzedanej Hitlerowi przez lajdacką klikę sanacyjną. Dlatego na dzisiejszym uroczystym obchodzie Święta Ludowego złożył hołd tym wszystkim, którzy swe życie oddali w ofierze Ojczyźnie, którzy zginęli w walce o sprawiedliwość. Oddajmy hołd bohaterom chłopskim, którzy zginęli w Wolicy pod Lapanowem.

A coż robiła potem burżazyjno-kulacka prawica ruchu ludowego?

Na emigracji londyńskiej i w kraju skumała się z oficerami i dygnitarzami sanacyjnymi, nawołując do walki nie przeciw Hitlerowi, ale przeciw narodowi Związku Radzieckiego, który powstrzymał pochod faszyzmu, złamał machinę hitlerowskiego Wehrmachtu i niósł nam wyzwolenie. W tym czasie Mikołajczyk, Bagiński, Korboński i inni zdradcy, którzy miłili się ludowcami, prowadzili zajadłą propagandę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, kazali czekać oddziałom BCH, bo mieli nadzieję, że uda im się bechocwoc użyć do walki przeciw Czerwonej Armii wyzwolicieli.

Ale naród przesłuch słuszną drogą. Słuszną drogą poszły masy chłopskie za przykładem klasy robotniczej. W Polsce wyzwolonej przez Armię Radziecką, przy współudziale wojska polskiego i robotniczo-chłopskich oddziałów partyzanckich, robotnicy wypędzili fabrykantów, chłopci zlikwidowali dwory szlacheckie i podzieliili między siebie ziemię. Lud ujął w swe ręce władzę państwową.

Jeszcze raz Mikołajczyk próbował wykorzystać dla celów burżuazji zielone sztandary. Po to właśnie przyjechał do Polski i założył PSL. Mając

oparcie o mikołajczykowskie PSL bandyci z NSZ i WIN-u strzelali do robotników i chłopów, organizujących władzę ludową w terenie. Strzelali z tej broni, którą „trzymali u nogi” w czasie okupacji, kiedy na Wawelu rezydował krwawy kat Polski — Frank.

Próżne jednak były wysiłki agenta imperializmu amerykańskiego. Władza ludowa umocniła się i utrwaliła przez zjednoczenie ruchu robotniczego i ruchu ludowego. Odbudowaliśmy miasta i wsie że zniszczeń wojennych, a obecnie rozbudowujemy wielki przemysł i stopniowo zmieniamy rolnictwo przez zaopatrzenie go w energię elektryczną, w maszyny rolnicze i traktory, przez umacnianie PGR-ów i tworzenie spółdzielni produkcyjnych. Dusząc się przed wojną na karłowatych gospodarstwach, zwłaszcza w Krakowskim i Rzeszowskim, ludność chłopska ruszyła do rolnictwa na Ziemię Odkrytą, do przemysłu, do szkół.

A gdzie teraz politykują zdracy ruchu ludowego? Mikołajczyk jest w Nowym Yorku na żołdzie bankierów prezesem kulackiej międzynarodówki. Niedawno zgłosił prośbę do amerykańskiego dowództwa, aby przeciwko Polsce zastosować taką wojnę jak w Korei. Amerykańscy imperialiści wskrzesili hitlerowski Wehrmacht w Niemczech Zachodnich, obiecując hitlerowcom panowanie nad Polakami. Mikołajczyk, Bańczyk, Bagiński, Wójcik i inni — są już teraz jawnymi sprzymierzeńcami Adenauera i hitlerowskich generałów. Sprzedając Polskę, nie mając nic do powiedzenia w kraju.

Nie dość, że tam frymarczą Ojczyznę, która dawno zdradziła, ale wykorzystując łączność z reakcyjnymi niedobitkami w kraju, usiłują prowadzić dywersję przez rozsiwienie plotek i szkalowanie Władzy Ludowej. Obóz imperializmu, któremu wysługują się ci zdradcy nie gardzi żadnymi, najpodlejszymi metodami w swej dywersyjnej robocie propagandowej. U nas w kraju stara się rozsiewać oszczerstwa i plotki szkalujące władzę ludową. Reakcyjne niedobitki — kultura miastowa, kulacy, speculanci i kombinatorzy podchwytują te klamliwe brednie. Oni — to pilni nasłuchi-wacze londyńskiej propagandy pierwszy ruszają się na skłepy i wykupują wszystko co popadnie. Nie gardzą nawet solą, jak by jej miało w Wielicze zabraknąć.

Bestialstwa, ani zrzucając masy broni i różnej zarazy nie mogą złamać



Foto CAF

oporu Korei. Na Zachodzie przez zmarszczone kracie przechodzi potężna fala buntu przeciw siwcom dżumy i podżegaczy. Większość Niemców opowiada się za pokojem. Francuzi zapowiadają walkę z okupacją amerykańską aż do zwycięstwa. We Włoszech front ludowy odnosi zwycięstwo w wyborach. Światowy Obóz Pokoju krzepnie i wzrasta na siłach tym przedzi, im silniejszy jest nacisk imperializmu na poszczególne kraje.

A jaki jest nasz wkład i udział w walce o zachowanie i utrwalenie pokoju światowego. Nam nie grożą kryzysy ani bezrobocie. Budowa przemysłu powaduje, że ręk do pracy ciągle mamy za mało. W rolnictwie przekształcającym się stopniowo i dobrowolnie z indywidualnych gospodarstw na zespołowe — walcymy o wysokie urodzaje i podniesienie produkcji zwierząt tak w gospodarstwach indywidualnych, jak w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach. Przez wzmocnienie pracy produkcyjnej budujemy dobrobyt, a jednocześnie pomnażamy siłę gospodarczą i obronność Państwa. Oto nasz codzienny wkład w walkę o pokój. Daje go ofiarnie pracujący robotnik w zakładzie przemysłowym i daje go chłop przez coraz lepszą uprawę ziemi. Walczą o pokój na-

sze dzieci, gdy się dobrze ucą i nau-

czyli, którzy je wychowują. O to, żeby tak właśnie było, żeby każdy miał pracę, chleb i oświatę, o to żeby nie było wyzysku, o taki ustrój walczyli chłopcy i za to dali swe życie idąc w bojowym natarciu przeciw ciemiężczyłom w 1932 roku i w latach następnych. Jakże więc piękny dowód czci i pamięci złożyli i składają wszyscy ci, którzy na Święto Ludowe podjęli liczne zobowiązania.

Naród polski, wypielniając wólg najlepszych swych synów robotników i chłopów, którzy oddali życie dla niepodległej Ojczyzny i za sprawiedliwość, buduje coraz większą potęgę gospodarczą i obronną.

W ten sposób przyczyniamy się do sparatyzowania napaściennych planów amerykańskich bankierów i ich hitlerowskich pachołków.

Pod przewodnictwem największego patrioty Prezydenta Bolesława Bieruta rozwija się niepodległa robotniczo-chłopska Rzeczpospolita Polska. Z nami jest najpotężniejsze państwo świata — Związek Radziecki. Z nami jest 500 milionowy naród chiński, z nami są kraje Demokracji Ludowej i Niemiecka Republika Demokratyczna. Z nami jest Stalin. Nasze będzie ostateczne zwycięstwo.

Stefan Ignar

W 110-tą rocznicę urodzin

O PROZIE MARI KONOPNICKEJ



Maria Konopnicka

tycznym. Jest bardzo charakterystycznym zjawiskiem, że najpiękniejsze ludowe postaci stworzone przez realistę krytycznych („Janko Muzykant” — 1882, „Antek” — 1881) zostały zarysowane w nowelach. Zjawisko to należy niewątpliwie tłumaczyć ograniczonością mieszczańskiego realizmu krytycznego. Szerzej ukazana droga takiego bohatera musiałaby bowiem przeciąć się z drogą buntu, z drogą organizacji socjalistycznych, jedynych wówczas reprezentantów interesów ludowych, a na pokazanie tego nie pozwalała realizm krytycznym ich własna pozycja klasowa.

Zainteresowania tematyczne od pierwszych nowel łączą Konopnicką z życiem mas ludowych. Początkowe utwory: „Wojciech Zapala”, „Michał Duniak” nie zawierają jeszcze w sobie tego ładunku oskarżycielskiego, tej pasji ukazywania klasowego tła cierpienia ludu, tak charakterystycznego dla nowel Konopnickiej.

Oskarżenie kieruje pisarka głównie przeciw fanatyzmowi religijnemu i ciemności. Humanitaryzm, umiejętność zgromadzenia spostrzeżeń i obserwacji, realistyczne bogactwo obrazu staną się odąd stałą cechą i ceną wartościową nowel Konopnickiej. Nowela „Ultimus” wyznacza drugą zasadniczą drogę tematyczną w noweli Konopnickiej. Stanowią ją losy deklasowanej, tracącej ziemię wskutek uwłaszczenia i następujących po nim procesach, szlachty. Współczesna rzeczywistość nasuwała Konopnickiej dziesiątki obserwacji, nasuwała jej i osobiste doświadczenie pisarki, która przeżyła proces deklasaacji, kiedy mąż jej stracił majątek i przeniósł się wraz z rodziną do krewnych.

Pierwsze nowele Konopnickiej nie zawsze rozwijane są zgodnie z realistyczną wiedzą o świecie. Autorka szuka rozwiązań, które pomimo całej oskarżycielskiej wymowy, mogłyby utrzymać optymizm pozytywistyczny, lub też typowe konflikty epoki konkretyzuje na materiale marginesowym, co także zaciera w pewnym stopniu ich sens realistyczny. Zagadnienie upadku zdeklasowanej szlachty powraca jeszcze w nowelach kilkakrotnie. Występuje tu jednak pewna osobliwość ciekawa i charakterystyczna dla autorki. Konopnicką cały ten proces o tyle tylko interesuje, o ile wiąże się z zupełną pauperyzacją jego ofiar, o ile ludzie ci powiększają szerokie masy skrzywdzonych i pozbawionych środków do życia. W ten sposób nurt ten staje się po prostu formą obserwacji życia jednej z grup społecznych dołów, odróżniającej się bagażem wspomnień o „lepszym życiu” i kultem dla konwensu towarzyskiego, mającego bronić przed ostateczną deklasaacją. Ciężar życiowy tego bagażu mistrzowsko pokazany został w noweli

„Panna Florentyna”. Postać tytułowa, szwaczka bez własnego warsztatu, typowa „wolna najmitka” miejska, stara się bez przerwy stwarzać pozory osoby z „lepszej siery”, przyczynając się tym w końcu do śmierci własnej matki. Zalosny bagaż szlacheckich przesądów i konwensów towarzyskich został w noweli „Ultimus” tylko ośmieszony, natomiast w noweli „Panna Florentyna” perspektywy stają się szersze — bagaż ten ukazała pisarka jako narzędzie dehumanizacji człowieka.

Najwięcej pasji oskarżycielskiej zawarła Konopnicka w tych nowelach, w których bohaterami usiłujemy bezskutecznie przełamać porządek kapitalistycznego świata są postaci z ludu. Pierwszą z nowel tego rodzaju była nowela „Pod prawem” (1886). Stanowi ono ostry atak na nieludzkość carskiego systemu prawnego, który skazywał byłego więźnia na przymusowe osiedlenie pod nadzorem policyjnym w miejscu urodzenia. Niemożność znalezienia pracy i utrzymania powodowały masowe ucieczki deportowanych, traktowane jako nowe przestępstwa i karane według poprzedniej procedury. Tak powstałoby błędne koło uniemożliwiające człowiekowi, który raz popadł w łapy carskiej „sprawiedliwości” powrót do normalnego życia Konopnicka z wyjątkową przenikliwością stawia tezę o klasowym charakterze systemu prawnego. Oskarżenie to jest tym pełniejsze, że nie ogranicza się do wykazania perfidii systemu karnania. Obszerna nowela raz po raz widocznie sytuację, w której w gźniarki, z racji ciężkiego na nich wyroku, stają się obiektem wyzysku ze strony przedstawicieli przetrzonych grup mieszczaństwa. W takim obrazie obiektywna wymowa oskarżenia staje się bardzo szeroka, bo uświadamia, że istnieje prawo sprzyja wyzyskowi uprawianemu przez burżuazję, że wyzysk ten utwierdza i zabezpiecza... W tym stanie rzeczy tylko kradzież lub prostytucja pozwalają człowiekowi utrzymać się na powierzchni. Zuchwali i pozbawieni skrupułów dają sobie radę z prawem. Ginie natomiast bohaterka, służąca Hanka, która mimo pomyłki sądowej i skazyjących ją na dno poniżenia wyroków pragnie pozostać uczciwą.

Dwie najlepsze nowele Konopnickiej to „Nasza szkapka” (1890) i „Miłosierdzie gminy” (1891). Powstały one w ostatnich latach szczytowego okresu realizmu krytycznego i są także szczytem nowelistycznej twórczości naszej autorki. Obydwie nowele spełniają nie tylko postulat realistycznej typowości; wartość ich leży w wysokiej miary kunsztu artystycznego, w umiejętności plastycznej konkretyzacji pokazywanych procesów społecznych.

„Nasza szkapka” jest nowelą pokazującą historię upadku drobnego sa-

modzielnego woźnicy, którego sytuacja gospodarcza pozbawia w końcu konia — żywiciela rodziny. Konopnicka — jak to się często u niej zdarza — nie interesuje gospodarce tego wydarzenia. W wilczym świecie społeczeństwa klasowego tylko syci powoli sobie mogą na luksus moralności. Człowieka wyzulego z własności system ten deprawuje i łamie. „Pod tym prawem lamala się dziewczyna, sprawy sobie nie zdając z całego szeregu następstw jego, które ją fatalnie, coraz ciśniejszym obejmowały kołem. Pod tym prawem wycezerowały się jej siły, obumierała wola ku dobremu, budziła nienawiść, serce zachodziło goryczą”.

Problem prawa, jako instytucji zabezpieczającej klasowe interesy posiadaczy, przeświadczenie o konieczności przełamania jego norm przez ludzi z dołów społecznych powraca i później jeszcze w twórczości Konopnickiej. Demaskowanie źródeł klasowej moralności wiąże się u autorki z rehabilitacją tych postaci ludowych, które sytuacja zmusiła do przekroczenia tego prawa. Podobnie jak w noweli „Pod prawem” powstał Hanka, tak i postaci chłopów białoruskich z noweli „Z włamaniem”, nasyca autorka ludzkimi, humanistycznymi cechami, daje słuszny obraz rzeczywistej wartości swoich bohaterów, których kapitalistyczne prawo ustawia poza nawiasem życia. Ta wysokiej miary umiejętność zbliżenia czytelnikowi ludowych postaci, prostego sposobu ich pojmowania świata, ich myśli i uczuć jest specyficzną wartością prozy Konopnickiej, należy do największych osiągnięć naszego realizmu krytycznego. Pragnienie Konopnickiej ukazania w ludziach takich wartości, jak: zrozumienie ważności i sensu pracy, poczucie obowiązku społecznego, przechowywanie tradycji narodowych, gotowość niesienia pomocy, pojawianie się samorodnych talentów artystycznych, silna więź rodzinna, humanitarny stosunek do zwierząt, stwarza w istocie obraz ludu, jako jednej warstwy mogącej reprezentować wartość narodu. Nie znaczy to wcale, aby Konopnicka nie uznawała wartości indywidualnych przedstawicieli z innych klas. W niżejszym wydaniu jest szereg nowel i fragmentów uznających wartości ludzi z innych środowisk. Jednak w konflikcie, w bezpośredniej konfrontacji Konopnicka przeciwstawia wartości duchowe (kwitujące w masach ludowych fałszywej i dwulicowej moralności klas posiadających. Tak było w noweli „Pod prawem”, tak jest w noweli „Z włamaniem”. Zainteresowania jej skupiają się na samym życiu rodzinnym, poprzez nie dopiero uświadczania autorka perspektywy szerszego świata. I tu Konopnicka może być przykładem, jak prawdziwy realista umie przy pomocy zobrazowa-

nia drobnych wydarzeń codziennego życia ukazać w utworze szerokie procesy społeczne.

Zapewne nie jest przypadkiem, że postaci dla ukazania nędzy mas ludowych poszukala sobie autorka w wyrobniku samodzielnym, można by go nawet nazwać czymś w rodzaju „drobnego posiadacza”. Pozwoliło jej to opisywany proces odosobnić i zamknąć w czterech ścianach izby. Stary Mostowiak ulega prawom wielkich procesów społecznych epoki — procesów proletaryzacji, ale los jego można by uznać za wyjątkowy, za skutek „złego losu”, nie posiada on przy tym żadnego poczucia klasowej więzi, żadnej świadomości powszechności swego losu. Dzięki temu autorka uniknęła niebezpiecznego dla jej realizmu pokazania odruchu sprzeciwu, buntu robotniczego. Skąd jednak wziął się swoisty humor w narracji o tragicznej historii upadku i proletaryzacji rodziny. Narratorem jest kilkunastoletni Wicek, bo tylko nie zupełnie świadomy tragizmu sytuacji chłopiec zdobył się tu mógł na humor i obiektywizm obserwacji. Humor obu chłopów stwarza jakieś lepsze perspektywy na przyszłość; mimo tragicznego zakończenia obraz nie jest rozpaczyliwie pesymistyczny.

Inaczej w noweli „Miłosierdzie gminy”. Perfidna obłuda społecznej filantropii uderza pesymizmem obrazu. Świat, który Konopnicka pokazała w noweli rządzi się jedną tylko zasadą, prawem opłacalności, prawem osobistego czy gromadkiego zysku. Oskarżenie ustroju jest w tej noweli najsilniejsze, bo pokazuje całkowitą dehumanizację człowieka, wywołaną warunkami społecznymi. Autorka tylko zbyt skąpo obdarzyła sprzedawanego z licytacji Kuntza w rysy humanistyczne.

Jeszcze jeden nurt ideowy należy uwypuklić w twórczości Konopnickiej — jest to nurt patriotyczny i antyrusalski. Konopnicka szerzej współczuła niedoli chłopów germanizowanych i wysiedlanych wskutek akcji politycznej cesarskich Niemiec. Nurt ten odcisnął się szczególnie silnie w twórczości poetyckiej autorki, ale i w nowelistyce mamy do zanotowania kilka pozycji. Najlepszym z utworów tego nurtu, w którym protestuje Konopnicka przeciwko germanizacji, jest nowela „W winiarstwie”, obraz akcji germanizacyjnej organizowanej od strony religij. Taka droga walki z polskością wydawała się autorce szczególnie niebezpieczna. Co bardzo ważne, protest przeciwko akcji germanizacyjnej nie łączył się u autorki, jak się to często zdarzało w różnych wypadkach, z nacjonalizmem. Konopnicka zdaje sobie sprawę, że nieprzyjaźnielcem jej nie jest prosty człowiek niemiecki, że winą za imperialistyczną politykę należy obarczać rząd i wła-

dzę. Dokumentem tego rodzaju ustosunkowania się do prostych ludzi niemieckich będą nowele „W starym mlynie”, „Niemczaki”.

Budzenie się tendencji antysemitycznych wśród części mieszczaństwa także obudziło czujność pisarki, tak zwłaszcza wrażliwej na wszelką krzywdę ludzką. Sprawom tym poświęca Konopnicka dwie nowele „Michał Duniak” i „Mendel gdański”. Zdanie przelamania bariery dzielącej Żydów od społeczeństwa polskiego wiązało się w pierwszej z nich z postulatami pozytywizmu, było wyrazem tych samych tendencji, które podkopywały Orzeszkowej kilka lat wcześniej powstałe powieści o żydach. W noweli „Mendel gdański” autorka jasno słowami Mendla ocenia nieludzkie dążenia rasistowskiego ruchu. Nowela ta jest w dużej części rozmową bohatera z jedną z postaci — sprawiło to ogrom materiału życiowego wiążącego się z zagadnieniami różnymi. Materiał ten wprowadzony do samych wydarzeń nie dałby się pomicieć. Natomiast niezmierną wyrazistość osiągnęła pisarka w rysunku bohatera tytułowego. Ten sukces artystyczny jest na tle nikłości fabuły noweli tym bardziej godny uznania.

Przy omawianiu prozy Konopnickiej nie wolno pominąć zagadnienia języka. Jest to język specyficzny, o zdecydowanie indywidualnym obliczu, Moim zdaniem odrębność tego języka polega na dwu zasadniczych elementach. Po pierwsze — język ten wprowadza do narracji i opowieści całościową dehumanizację człowieka, wyalnając warunki społecznymi. Autorka tylko zbyt skąpo obdarzyła sprzedawanego z licytacji Kuntza w rysy humanistyczne.

Nowelistyczne osiągnięcia Konopnickiej zbyt mało były może dojdą uwypuklone. A przecież nowele tej pisarki „ludowej nędzy i miłości ojczyzny” — jak słusznie określił postawę autorki St. R. Dobrowolski — są trwałymi dorobkiem literatury polskiej.

Włodzimierz Maciąg

* Maria Konopnicka, Pisma wybrane, t. I-IV, pod redakcją Iminy Sztwińskiwej ze wstępem St. R. Dobrowolskiego, Książka i Wiedza, 1951, str. 203+293+200+384.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

PODSUMOWANIE DYSKUSJI NA NARADZIE BIBLIOTEKARZY*)

CHCIAŁEM podkreślić na czym polega zasadnicze znaczenie naszego dwudniowego zjazdu.

Przed wszystkim jego znaczenie polega na tym, że zjazd ten pokazał duży aktyw bibliotekarski, pokazał świadomość zadań, jakie stoją przed bibliotekarzami i pokazał to, że istotnie mogliście się na obecnym zjeździe pochwalić nowymi formami prac. Wymiana doświadczeń, jaka tu miała miejsce wskazuje na śmiałość i ofiarną waszej pracy, wskazując na odwagę stawiania zagadnień.

Po drugie — sens obecnego zjazdu polega na tym, że w ten sposób partia i rząd przed całym krajem, władzami i społeczeństwem podniosła wagę zagadnienia pracy bibliotekarskiej. Jednocześnie uchwała Prezydium Rządu poprzedzająca nasz zjazd, o powołaniu rady książki, przyjęcie delegacji Zjazdu przez Prezesa Rady Ministrów i omówienie problematyki bibliotekarstwa, w prasie i artykułach poprzedzających zjazd, świadczą o tym, że problem książki, problem czytelnika, problem człowieka, który pracuje z książką i sama praca bibliotekarska jest jednym z czołowych zagadnień, jakie partia, jak i rząd stawia dzisiaj przed nami. To jest ten głęboki sens waszego zjazdu. Zresztą sądzę, że ten zjazd będzie czynnikiem wielkiej mobilizacji samych bibliotekarzy, będzie czynnikiem podniesienia na duchu tych szarych pracowników, którzy gdzieś w terenie dokonują wielkiej pracy wychowania, pracy z człowiekiem, pokazują im sens ich pracy, wskazuje, że partia i rząd myślą o nich i będą zajmować się dalszym ich losem. (Oklaski).

Sądzę również, że sens tego zjazdu polega i na tym, że został on rzucony na tło wielkiej akcji Dni Oświaty Książki i Prasy, i że w ten sposób problem bibliotekarstwa, problem pracy z książką, problem wychowania człowieka przez książkę, został powiązany z całym wielkim frontem ideologicznym oświaty, kultury i wychowania nowego człowieka w Polsce.

Ale trzeba stwierdzić, że obok tych plusów naszych dyskusji, przemówień, trzeba stwierdzić i braki, jakie się ujawniły również na tym zjeździe, a które są wyrazem naszej pracy. Do tych podstawowych braków chciałbym zaliczyć pewien ton samouspokojenia, samozadowolenia, który charakteryzował większość waszych wystąpień. Te wystąpienia były za mało krytyczne pod naszym adresem, były za mało samokrytyczne pod waszym adresem, nawet często deklaratywne, nie były istotnie swoimi słowami, słowami spod serca. Często te przemówienia miały charakter napisanych referatów krótkich lub długich i nie zawsze świadczyły o tym, że dla was ten zjazd jest zjazdem, na którym należy postawić nie raz sprawy białe, na którym należy się bić o lepszą pracę i kierownictwo w Zarządzie Bibliotek i w samej waszej pracy. A trzeba powiedzieć, że jeszcze jest niesłychanie wiele w naszej pracy braków. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nasza polityka wydawnicza pozostawia wiele do życzenia i polityka Domu Książki i polityka Centrali Zakupów. Nie mieliśmy w tej sprawie krytyki. Przez cały czas posiedzenia, zarówno my, jak i kierownictwo CUK — siedzieliśmy podczas waszych obrad, byli i przedstawiciele Domu Książki, a brakowało pod naszym adresem głosów krytyki. My sobie zdajemy sprawę z braków CUK, z braków naszej własnej polityki jeśli chodzi o Centralny Zarząd Bibliotek. Zdajemy sobie sprawę choćby dlatego, że znamy te plany wydawnicze i mamy sygnały z terenu świadczące o tym, że czytelnik domaga się od nas książki bardziej wszechstronnej, bardziej prostej, odpowiadającej na konkretne zagadnienia techniczne, rolnicze itd., że czytelnik domaga się od nas książki dla młodzieży bardziej bliskiej zagadnieniom, interesom i sprawom młodzieży, książki o przygodach, książki, która a by rozwijała fantazję młodzieży. Muszę przyznać, że kiedy rozpatrywałam sprawę nagród za książki dziecięce, młodzieżowe, mieliśmy trudności komu przyznać nagrodę — bo istotnie, książek dla młodzieży mamy mało i nie odpowiadają one potrzebom młodzieży. Zdajemy sobie sprawę, że problem ideologicznego, politycznego wychowania młodzieży jest zasadniczym, bezspornym zagadnieniem. Potrzebne są książki, które na płaszczyźnie rozwijają wszechstronnych zainteresowań czytelnika trafiają do czytelnika od strony jego potrzeb, zainteresowań człowieka, który chce mieć odpowiedź na pytania nie tylko dotyczące racjonalizacji pracy, współzawodnictwa czy zagadnień produkcyjnych, wreszcie zagadnień ściśle politycznych, ale te zagadnienia chce widzieć w codziennym życiu, w codziennych troskach, w codziennych radościach, przygodach, fantazjach, w zagadnieniach życia rodzinnego, — jednym słowem w całym bogactwie życia człowieka. My nie dajemy często odpowiedzi na dręczące pytania dorastającej młodzieży. Za mało dajemy fantastycznych książek. To wszystko jest prawda i te rzeczy

powinny były wyjść w Waszej dyskusji.

To samo, jeżeli chodzi o zagadnienia książki współczesnej. Pisarze oczekiwali od Was ostrzejszej krytyki. Oczekiwali od Was ostrej krytyki swoich braków, schematyzacji typów, postaci, oczekiwali, że będziecie ostrzej mówili na temat naszej współczesnej literatury. Te momenty należało mocniej i jaśniej wydobyc. Należało mówić o naszym Centralnym Zarządzie, o centralnym zakupie, bo zdajemy sobie sprawę, że centralny zakup schematyzuje, formalizuje problem właściwego rozdania książki.

Za mało mówiliście o tym, że książki nie mają gdzie stać, że leżą na ziemi ponieważ nie ma półek, nie ma czym ich oprawić. Biblioteki gminne nie działają, bo nie ma nafty, węgla.

Trzeba było ostrzej, mocniej nas krytykować. Ja dlatego o tych rzeczach mówię, bo jestem przekonany, że my będziemy się niejednokrotnie jeszcze spotykali, niejednokrotnie będziemy mieli sposobność mówienia ze sobą i należy się poznać wzajemnie, żeby nasze narady, nasze konferencje były szczerze, otwarte, bezpośrednie, ostre, żebyśmy siebie widzieli w krytyce i samokrytyce i żebyśmy samych siebie nie uspakajali. (Oklaski).

Ten moment samouspokojenia dotyczy również problemu wychowania człowieka na gruncie Waszej pracy, na gruncie książki. Trzeba powiedzieć i zdać sobie sprawę z tego, że macie dużo ciekawych, nowych pomysłów form pracy z czytelnikiem. Mówią o tym pisarze, którzy spotykają się z Wami. Niektóre momenty Waszej pracy są istotnie bardzo ciekawe i zasługują na rozpowszechnienie. Koledzy ze Związku Literatów mówią z uznaniem o Waszych osiągnięciach, o poszczególnych poważnych osiągnięciach ogółu bibliotekarzy.

Nie o to jednak chodzi. Kiedyście mówili, charakteryzowali Was pewne przekonania, że sprawa pracy z czytelnikiem jest to zagadnienie przede wszystkim jeszcze rozszerzenia pewnej bazy czytelniczej, która jest uboga, wąska, bo wiemy, że nie dochodzi ona do 10%. Wiemy, że bijecie się, by dostać się na teren robotniczy. Chociaż ten moment był przez Was raczej od strony wsi podkreślany, mniej mówiliście o robotnikach, o pracy z młodzieżą robotniczą, z robotnikami — to było słabiej wydobyte w Waszych wypowiedziach.

Ale chodzi w tej chwili o to, że to wszystko brzmiało w Waszych wypowiedziach nie dość klasowo, nie było w Waszych przemówieniach te-



Foto E. Goławski

go przekonania, tego poczucia z Waszej strony, że jesteście na wysuniętych pozycjach walki politycznej. Przecież nie trzeba zamykać oczu na to, że żyjemy w trudnym momencie walki politycznej, również i w skali międzynarodowej. W momencie decydującym, jeżeli chodzi o wygranie bitwy o pokój. Zujemy w momencie trudnej walki politycznej, jeżeli chodzi o kraj. Są duże trudności natury ekonomicznej, a to pogłębia walkę, nieporozumienia i ułatwia walkę wrogów, który przenika do młodzieży, a nawet do słabszych ogniw klasy robotniczej, zwłaszcza wobec przesuwania się milionów ludzi ze wsi do miasta. Mamy poważne nieporozumienia i niepokój wśród inteligencji.

Chodzi więc o to, jak Wy przewidywacie nauki starego myślenia, niepokój, wrogość, w jaki sposób walczyć z wrogiem w swojej

pracy, jak przewidywacie opory natury ideologicznej, które na pewno docierają do Waszej pracy i na niej się odbijają.

Jednym słowem, w jaki sposób realizujecie podstawę ideologiczną bojownika o nowego człowieka.

Te momenty u Was zabrzmiły jeszcze w sposób niedostateczny. Chęć to powiedzieć szczerze i otwarcie. Jestem głęboko przekonany, że i Wy realizujecie politykę Partii i politykę Rządu na wielu odcinkach bardzo dobrze, że Wasza ofiarność, miłość naszej Ludowej Ojczyzny pomaga Wam pracować. Ale moment bojownika nie zabrzmiął u Was dostatecznie.

My wiemy, że dziś, zwłaszcza w pewnych kołach młodzieży, panują niepokój i nieporozumienia, że występują one na różnych odcinkach, że występują one u naszej inteligencji i nawet u słabszych ogniw klasy robotniczej, występują one w postaci chuliganstwa, czy uciekania od książki, unikania książki i że to jest jedna z postaci walki politycznej.

Towarzysze Bieru, mówiąc o rozpowszechnianiu dyskusji nad Konstytucją, tak stawiał sprawę, że naszym zasadniczym zadaniem w tej dyskusji jest tak uźbroić człowieka w Polsce, człowieka pracy w Polsce — zarówno inteligenta, robotnika, jak i chłopca, żeby żadne argumenty wroga nie dotarły do nich. A my wiemy, jakim trudnym procesem jest kształtowanie się psychologii człowieka, jego świadomości politycznej. Jak człowiek już dochodzący do nas, nagle nieraz odskakuje od nas i nieraz zupełnie przypadkowo zjawiska odpychają go od nas. I jak, kiedy z trudem dochodzi do pewnych uogólnień ideologicznych i politycznych i nie zawsze trafne frazesy świadczą o

wewnętrzny przeobrażeniu człowieka. To są rzeczy różne. On nieraz chciałby frazesami przykryć cały swój wewnętrzny niepokój i tutaj kluczowym zagadnieniem jest książka i Wasza praca z czytelnikiem, bo wiemy, że najłatwiejszym argumentem trafienia do duszy człowieka jest książka.

My działacze polityczni spotykamy się z ludźmi na wiecach, na konferencjach i trudno, żebyśmy mieli możliwość takiego dotarcia do człowieka, jakie ma każdy z Was, obucją raz czy dwa razy na tydzień z człowiekiem, który skromnie przychodzi po określoną książkę, albo szuka określonej książki i sam nie zdaje sobie sprawy jakiej.

Otóż podsumowanie książek, rozmowy, umiejętność uzbrojenia człowieka w system myślenia — to jest Wasze zadanie. My musimy pamiętać o tym, że marksizm daje człowiekowi jedną naukową możliwość zbudowania prawdziwej wolności człowieka i właśnie wasza praca jest tą codzienną drogą do wolności człowieka — to jest droga poznania przyczyn, które wpływają na to zjawiska i które pozwalają sobie odwrócić, jak gdyby człowiek zaczął sam siebie kształtować, gdyby nie ulegał naciskom myśli, emocjonalnym odruchom pierwszej lepszej plotki, jakie zbijają go z trudnej drogi, a przeciwnie, żeby go tak ustawić, tak nauczyć rozumieć zjawiska i samego siebie, żeby człowiek świadomie budował świat i świadomie w tym świecie brał udział.

I to jest zadanie książki. Książka człowieka uczy poznania samego siebie, odkrywa braki w tym co mu przeszkadza iść w tym świecie, człowiek na książce umacnia swoje przekonania. I problem pracy z czytelnikiem, kształtowania na książce człowieka, umiejętność podsumowania mu książki naukowej, beletrystycznej, fantastycznej, nieraz politycznej, to jest wielka sztuka jaka musi cechować każdego bibliotekarza.

Wiemy, że nie raz człowiek z trudem zaczyna czytać marksistowskie książki. Właściwie więc stopniowanie, właściwe podsumowanie książki, aby człowiek miał radość z tego, że książki uzbijają go do odpowiedniej postawy w życiu — to jest wasze trudne, wielkie zadanie. I pamiętajcie, o wielkiej rzeczy na zakończenie. Najważniejszą sprawą, która powinna cechować pracownika ideologicznego to jest pewna muzyczność w kontakcie z ludźmi, umiejętność wyczuć o drugiemu człowiekowi potrzeba, a więc nie stosowanie metod schematycznego, formalnego podsumowania mu książek zgodnie z naszymi wytycznymi, które z konieczności muszą być biurokratyczne. Lecz wy, którzy macie kontakt z człowiekiem musicie być muzyczni na duszę ludzką, na jego wahanie i umiejętność dawanie mu myśli nowej — właściwej książki. A my często jesteśmy bardzo niemuzyczni i z książką rodzicką i z książką marksistowską i ze współczesną beletrystyką. Bardzo łatwo umiemy odtrącić i popchnąć do szukania książek poza nami.

I ostatnia sprawa. Oczywiście stoł przed nami już wielkie zadanie, żeby te sprawy, które zostały postawione przez Prezesa Rady Ministrów i w naszym stanowisku — żebyśmy istotnie je zrealizowali.

Chciałbym stwierdzić, że nie będzie tak, że jak wrócicie w teren — to posypią się zarządzenia, które ustanowią inaczej całą waszą pracę i waszej sytuacji. Tak nie będzie. Ja nie chcę żebyście wyjeżdżali z zbyt różowym nastrojem. Natomiast dajemy obietnicę, że będziemy wszystkimi sposobami, żebyśmy do obojczywej sytuacji i ustawienia innej w sensie stawk administracyjnych, istotnie przeprowadzić żebyś dbać o wasz awans, żeby dokończyć decentralizacji zakupów, żeby rady biblioteczne uczyły się z punktu widzenia realnym — to są te sprawy, które, sądzę, dzięki naszej naradzie zostaną wcielone w życie.

Ale pamiętajcie, że realizacja tych zadań będzie wówczas możliwa, jeżeli wy ze swej strony wszystko uczynicie, żeby bibliotekarz stał się synonimem politycznym człowieka, który umie walczyć czynnie o wychowanie nowego człowieka, o swoją postawę jako bibliotekarza. Jeżeli będziecie krytykowali, domagali się realizacji, jeżeli razem z nami będziecie, żeby zjazd dał rezultaty. To jest warunek realizacji zadań. Każda realizacja jest zawsze trudnym procesem. Są najrozmaitsze przeszkody, które przed nami zawsze stają. My zdajemy sobie sprawę z ogólnych trudności i że stoją wielkie zadania w dziedzinie przemysłowania kraju, że mamy sytuację, która musi mobilizować nas w obronę naszego kraju — to jest realna sytuacja i to są realne trudności.

I w ramach tych trudności, jeżeli bibliotekarz stanie się wielką siłą bojownika pokój — wtedy i Rząd i Partia potrafią uczynić wszystko, żeby tych pracowników, walczących o pokój podnieść do tej godności na jaką na pewno zasługują. (Oklaski).

Włodzimierz Sokorski

LEONTOWA FRANCISZKA

Rybacki z osady Tolkmicko

WSZYSTKICH uczestników dzisiejszego zjazdu serdecznie pozdrawiamy rybacy z osady Tolkmicko. Osada rybacka Tolkmicko na Wybrzeżu posiada 1600 mieszkańców. Czytelników biblioteki mamy 250, książek w księgozbiore 2.500. Rybacy, gdy dowiedzieli się że jadę na zjazd do Warszawy, przybiegli do mnie specjalnie, aby przypomnieć, że w ich imieniu mam przemawiać, ponieważ panuje krzywdząca opinia, że rybak to pijak, nieuk i „ciemniak”. Ze tak nie jest niech świadczy fakt, że zanim nastąpiło otwarcie Biblioteki Miejskiej (jestem kierowniczką biblioteki miejskiej — osady Tolkmicko — a nie gminnej), zanim miałam pieczęć, zanim sporządziłam inwentarz i zanim zostałaam przeskolona, już na trzy miesiące wcześniej zgłosił się wielu rybaków po książki. Nie miałem jeszcze wtedy lokalu na bibliotekę. Z własnego mieszkania

mość, że rybacy czytają chętnie i dużo i o wszystkim, a nie piją i nie są nieukami. (Oklaski).

Co czytają moi czytelnicy? Często, gdy czytamy ankiety, to żąda się podziału książek na klasyków, książki radzieckie, pisarzy obcych. Ale moi czytelnicy uważają, że wszystkie książki, które są, należy czytać, bo jeżeli jakaś książka przebyła tak uciążliwą drogę od pisarza, który w pocie czoła ją pisał, poprzez wydawnictwo, aż wreszcie dalekim transportem do Tolkmicko a nadto zatrudnia się bibliotekarza — to widocznie książka zasługuje na to, żeby ją czytać i nie patrzeć czy jest to książka radziecka, czy polska, klasyczna czy współczesna.

Pisarze żyją w sercach naszych czytelników. Nieraz przychodzi do mnie rybak z przeczytaną książką i pyta — co to za pisarz, czy żyje? Nieraz muszę odpowiadać, że niestety dawno już w ziemi pogrzebany, ale żyje w pamięci ludzkiej. Często czytelnicy przychodzą, aby się zwierzyć mi z przeżyć, jakie dały im książki. Wtedy zawsze próbowałam notować. Więc biorę ołówki i jeżeli, jak ja nazywam moich czytelników — taki „młody sędzi” — nie zauważy, wypowiada się szczerze i chętnie, ale jeżeli zauważy, zaraz pyta, — co pani tam pisze? Wtedy mówię np., że piszę kartkę do męża, aby kupił chleb, bo ja dziś urzęduję do późna. Tak to ich zwodzę, jak mogę.

Oto kilka wypowiedzi moich czytelników. Najpoczytniejszą książką u nas okazała się powieść „Syn rybaka” Lacisa. Książka ta ma niesłychane powodzenie. Chciałabym być na miejscu tego pisarza (wesoło!). Ojciec 4 dzieci tak mówi o tej książce: „Pracuję jako rybak 12 lat i zdawało mi się, że życie rybaka nie jest godne uwiecznienia, ale „Syn rybaka” przekonał mnie, że naprawdę jest pięknie z naszymi radościami i smutkami. Rybacy są wszędzie jednakowi, czy to w Polsce, czy w Związku Radzieckim, wszędzie rybak jednakowo czuje, myśli i jednakowo się raduje”.

Żeby więc zadokumentować swoją sympatię dla książki, żeby ją przepiękować, kupił ten rybak swojemu 7-letniemu synkowi ową książkę w prezencie, choć książka jeszcze poczeka, nim małe wyrośnie.

A na przykład o książkach Gorkiego tak mówi jedna z czytelniczek. Do tej pory nie przychodziła sama, bo jest matką czworga dzieci, poza tym ma krowy, świnie — tak się zagospodarzyła na Ziemiach Odzyskanych. Ale bardzo chętnie czyta. Mąż jej trochę rybak, trochę rolnik. Ona stale przysyłała syna, 10-letniego Michała i ten miał taką wyuczoną formułę: „Proszę tylko o pisarzy polskich”. Otóż kiedyś, w sobotę, korzystając z dużego ruchu w czytelnici dałam mu „Matkę” Gorkiego. W poniedziałek pan memu zdziwieniu, przychodził pani Kisielowa i powiada: „Nie myślałam, że mnie pani tak krzywdziła od pewnego czasu. — Ja? Dlaczego? Przecież wybierałam pisarzy polskich, tak jak pani sobie tego życzyła.”

— Tak, ale „Matka” Gorkiego, to jest dopiero piękna książka. Proszę jeszcze z książkę tego autora.

— Miałam na szczęście jeszcze „Dzieciństwo” Gorkiego.

Tak moi czytelnicy czytają.

Leontowa Franciszka



Foto CAF

JADWIGA DEPTA

Woła Opolszczyzna

NAWET w najmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie, że będę ja prosta dziewczyna z Opolszczyzny, mogła kiedyś publicznie przemawiać w stolicy Polski. Jeżeli to dziś uczynię, to przede wszystkim dlatego, aby złożyć hołd pamięci tych, którzy u nas na Opolszczyźnie buzieli ducha narodowego ofiarą, czynem, słowem drukowanym, książką.

Wychowałam się w środowisku, w którym książka od najmłodszych lat była najlepszym przyjacielem. W najmłodszych wspomnieniach widzę się w gronie sąsiadów zasłuchana w to, co ojciec czytał na głos z książki, które za ciężko zapracowaną grosz z wydawnictwa Karola Miaraki z Mikołowa przysyłał sobie kazał. Później, gdy już sama poznałam cudowną moc tych czarnych znaków w języku ojczystym, wówczas podczas lekcji w niemieckiej szkole, do której uczęszczałam, nauczyciel nie raz wyciągał mi spod ławki „polskie szpargali” i nieraz otrzymywałam za to karę.

W roku 1936 zapoznałam się z Kolem Polskiej Młodzieży przy świetlicy w budziskach, podlegającej Związkowi Polaków w Niemczech. I odtąd kilka razy w tygodniu biegałam 3 kilometry czy to na lekcję śpiewu, czy to na jakieś zebranie, a najczęściej żeby książkę zamienić. W każdej wiejskiej świetlicy miałem się komplet, mniej więcej 50 tomów, który po przeczytaniu był zmieniany. Z tych czasów zapamiętałam „Trylogię”, „Władysława Hermana i jego dwór”, „Wygrabany chodnik” itd. Te książki były nam orężem w walce o utrzymanie polskości na naszych terenach.

Hitlerowcy, dobrze wiedzieli, że książki są nam pomocą w walce o utrzymanie patriotyzmu i mowy ojczystej. To też tych, którzy abonowali polskie książki i gazety, w roku 1939 prześladowano i najwcześniej rzucono się na nasze świetlice i nasze biblioteki. Zostały zniszczone.

Nadszedł najcięższy okres w nas. W życiu, kiedy zabrano naszym najlepszym aktywistom do obozu a młodzież męską przemocą wcielono do armii, z której wielu już nie wrócił.

Książki, jakie mieliśmy, chowaliśmy, żeby je potem po wejściu Armii Radzieckiej wydobyc z ukrycia.

I odtąd głód ludzi Opolszczyzny za polskim słowem zaczął być zaspakajany w stonni dotąd nieznanym. Choć na początku każda uratowana książka była jeszcze pierwszym dopiero skarbem.

Od 1947 roku zaczęła się rozwijać u nas sieć biblioteczna i ja w tym roku zostałam czytelniczką Gminnej Biblioteki Publicznej w Kuźni Raciborskiej.

W 1948 roku zrobiono mnie punktową w mojej rodzinnej wiosce, w Turzu. Później, w 1949 roku, zostałam

gminną bibliotekarką. Mam zamiłowanie do tego zawodu, w którym można tyle szlachetnego i pożytecznego ludziom przekazać. W 1950 roku wysłałam mnie na kurs dla kierowników bibliotek gminnych i od listopada tegoż roku jestem kierowniczką Gminnej Biblioteki Publicznej w Kuźni Raciborskiej. Jest to środowisko robotniczo-chłopskie, gdzie liczba czytelników stale wzrasta. Kuźnia Raciborska ma 5 tysięcy mieszkańców. Gdy obejmowałam bibliotekę, miałam 117 czytelników, a obecnie mam 383 (Oklaski). Poza tym w punktach mamy przeszło 300 czytelników. W Turze mamy bardzo aktywnych czytelników, którzy brali udział w akcji rozpowszechniania czytelnictwa, przeprowadzonej przez Samopomoc Chłopską i uzyskała drugie miejsce w tej akcji na szczeblu wojewódzkim. Brali oni również udział w Festiwalu Sztuki Współczesnych. Młodzież, która stanowi przeważną część naszych aktywnych czytelników, postawiła sobie szczerze zadanie, żeby zarówno w pracy społecznej, jak i zawodowej zasłużyć na wzięcie udziału w Złocie Młodych Przewodników w Warszawie.

Ale wciąż jeszcze mamy za mało książek na Opolszczyźnie. To też prosimy — przysyłajcie nam więcej książek, żeby nasi czytelnicy mogli dobrze zapoznać się z literaturą polską. Prosimy o Sienkiewicza, Orzeszkową, Morcinkę, Wasilewską, Polewoja, Babajewskiego, Szolochową itd. Prosimy o książki młodzieżowe. Bo mamy zupełny brak literatury dla młodzieży, nie mamy czym naszych dzieci zaspokoić. Brak nam także lektury dla młodzieży uczęszczającej się. Wpłynęła na Prezydium Rad Narodowych, żeby lepiej opiekowały się naszymi bibliotekami i udzielały im wszelkiej pomocy. Np. do niedawna miałam oddzielny pokój na bibliotekę, teraz dano mi pokój przechodni i nie mogę urządzić wystawy, ani biblioteki w porządku utrzymać.

Popularyzując życie w nas. W życiu, kiedy zabrano naszym najlepszym aktywistom do obozu a młodzież męską przemocą wcielono do armii, z której wielu już nie wrócił.

Książki, jakie mieliśmy, chowaliśmy, żeby je potem po wejściu Armii Radzieckiej wydobyc z ukrycia.

I odtąd głód ludzi Opolszczyzny za polskim słowem zaczął być zaspakajany w stonni dotąd nieznanym. Choć na początku każda uratowana książka była jeszcze pierwszym dopiero skarbem.

Od 1947 roku zaczęła się rozwijać u nas sieć biblioteczna i ja w tym roku zostałam czytelniczką Gminnej Biblioteki Publicznej w Kuźni Raciborskiej.

W 1948 roku zrobiono mnie punktową w mojej rodzinnej wiosce, w Turzu. Później, w 1949 roku, zostałam

gminną bibliotekarką. Mam zamiłowanie do tego zawodu, w którym można tyle szlachetnego i pożytecznego ludziom przekazać. W 1950 roku wysłałam mnie na kurs dla kierowników bibliotek gminnych i od listopada tegoż roku jestem kierowniczką Gminnej Biblioteki Publicznej w Kuźni Raciborskiej. Jest to środowisko robotniczo-chłopskie, gdzie liczba czytelników stale wzrasta. Kuźnia Raciborska ma 5 tysięcy mieszkańców. Gdy obejmowałam bibliotekę, miałam 117 czytelników, a obecnie mam 383 (Oklaski). Poza tym w punktach mamy przeszło 300 czytelników. W Turze mamy bardzo aktywnych czytelników, którzy brali udział w akcji rozpowszechniania czytelnictwa, przeprowadzonej przez Samopomoc Chłopską i uzyskała drugie miejsce w tej akcji na szczeblu wojewódzkim. Brali oni również udział w Festiwalu Sztuki Współczesnych. Młodzież, która stanowi przeważną część naszych aktywnych czytelników, postawiła sobie szczerze zadanie, żeby zarówno w pracy społecznej, jak i zawodowej zasłużyć na wzięcie udziału w Złocie Młodych Przewodników w Warszawie.

Ale wciąż jeszcze mamy za mało książek na Opolszczyźnie. To też prosimy — przysyłajcie nam więcej książek, żeby nasi czytelnicy mogli dobrze zapoznać się z literaturą polską. Prosimy o Sienkiewicza, Orzeszkową, Morcinkę, Wasilewską, Polewoja, Babajewskiego, Szolochową itd. Prosimy o książki młodzieżowe. Bo mamy zupełny brak literatury dla młodzieży, nie mamy czym naszych dzieci zaspokoić. Brak nam także lektury dla młodzieży uczęszczającej się. Wpłynęła na Prezydium Rad Narodowych, żeby lepiej opiekowały się naszymi bibliotekami i udzielały im wszelkiej pomocy. Np. do niedawna miałam oddzielny pokój na bibliotekę, teraz dano mi pokój przechodni i nie mogę urządzić wystawy, ani biblioteki w porządku utrzymać.

Popularyzując życie w nas. W życiu, kiedy zabrano naszym najlepszym aktywistom do obozu a młodzież męską przemocą wcielono do armii, z której wielu już nie wrócił.



Foto J. K. Maciejewski

zrobiłam bibliotekę. Zamiast pieczątki wystarczał mi podpis. Książki już były w użyciu.

Cóż czytają moi rybacy, mówię moi, gdyż sama już jestem prawie rybakką. Kiedy przyjechałam do Tolkmicko, bardzo trudno było o chleb, o węgore za latwo. Kupiliśmy wtedy z mężem 4 kg tej ryby i w ciszy zjedliśmy całego węgoreza. Od tej pory węgorezy nie jadam. Ale moja biblioteka przesycona jest zapachem ryby, soli i wiatru morskigo, nie mniej niż kantor odbiorcy połowów.

Cóż czytają moi rybacy? Wszystkie książki, jakie są w bibliotece. I wszyscy czytają książki. Mamy bowiem kilka bibliotek. Na 1600 mieszkańców jest biblioteka miejska, biblioteka szkoła, przy zakładzie przetworstwa owocowych — biblioteczka zakładowa. Nowopowstała fabryka ceramiczna, też ma swoją bibliotekę. Groźnym konkurentem jest listonosz, który upowszechnia czytelnictwo do tego stopnia, że zamiast drobnych wydaje książki. W wyniku tej akcji większość czytelników posiada własne księgozbiory i z wyższością patrzy na moje półki, bo mówią — i to mam, i to mam. Moi czytelnicy proszą więc, żeby uczestnicy dzisiejszego Zjazdu ponieśli w świat wiado-

*) W dniach 28 i 29 maja odbyła się w Warszawie ogólnokrajowa narada bibliotekarzy wojewódzkich, powiatowych i gminnych.

ALINA WITKOWSKA

SPRAWA „TYTONIU” W LITERATURZE I KRYTYCE BUŁGARSKIEJ

W NASZYM życiu literackim bieżący rok charakteryzuje się dużym — w stosunku do lat poprzednich — ożywieniem dyskusji związanych z krytyką literacką, z waga o wypracowanie słusznej i twórczej linii naszej krytyki, takiej krytyki, która by w pełni czuła się odpowiedzialna za rozwój naszej literatury i czytelnictwa, która by, jako krytyka, za estetyczne wyrobienie i poziom ideowy mas odbiorców. Tym znanym powszechnie prawdom związanym z daniami krytyki poświęcone były orady niedawnego Plenum ZLP; te prawdy stały się przypomina i powtarza nasza prasa literacka i w tej chwili kanon ogólnych niedociągnięć naszej krytyki jest powszechnie znany. Wydaje się jednak, że ciągle zbyt mało, jak dotąd, uwagi i energii poświęca się analizie konkretnych błędów krytyki literackiej, analizie przeprowadzanej z artykułem w ręku i naocznie — a nie tylko teoretycznie i abstrakcyjnie — udowodniającej i prezentującej istotę niedociągnięcia. Dlatego niewiele się zmieniło praktycznie w stanie naszej krytyki, której przedstawiciele nadal uprawiają swój ogródek z pewnym poczuciem, powiedzmy, lekkomyślnej bezkarności, ponieważ pałeczki gromy skierowane przeciwko „krytyce w ogóle” najczęściej dotyczą tylko sfer abstrakcyjnych uogólnień na temat np. schematyzmu, a nie obracają się przeciwko konkretnym niedociągnięciom konkretnych recenzentów. Ostatnio akcję pogłówniania rzeczywistych błędów krytyki — z wymienianiem nazwisk i poszczególnych artykułów — podjął w „Nowej Kulturze” G. Lasota, ale został już, jak się wydaje, „zgaszony”. Nadal więc do milych wyjątków należą recenzje żywe i twórcze, z których wnioskami musiałby liczyć się autor, które wychowywałyby czytelnika. Krytyk bowiem, bardziej niż kokowik inny z pracowników kultury, powinien ciągle rozwijać wiedzę o życiu i literaturze, czujność polityczną i subtelność estetyczną — w przeciwnym razie będzie tylko mierzalnym producentem recenzji zasilających schematyzm w krytyce.

Na te aktywne i wymagające postawy czytelników szczególnie jaszkawa rysuje się stan intelektualnej drzemki części krytyki. Niektórych zawodowych recenzentów ze stanu pretensjonalnego zadufkowania krytycznego budzi dopiero potężny przyrutek w nos otrzymany od własnych czytelników. W ciągu ostatniego półrocza dysproporcja między krytykami a życiem, między oceną estetyczną utworów przez zadufków-recenzentów i odbiorcę — masowego czytelnika znalazła szczególnie ostry wyraz w dwóch dyskusjach, jakie rozgorzały w Związku Radzieckim — wokół powieści *Wilisa Lacisa* „*Ku nowemu brzegowi*” i w Bulgarii w związku z powieścią *Dymitra Dymowa* pt. „*Tytoniu*”. Radziecka i bułgarska dyskusja — różne co do rozmiaru i szczegółów — rozwinęły się wokół identycznych błędów części zawodowej krytyki. Wykazują jej ciastnotę, schematyzm, tamudyczność, nietytułowy stosunek do założeń estetyki marksistowskiej.

Wyroczona ostatnio Nagrodą Stalinską I stopnia powieść lotewskiego pisarza Lacisa spotkała się początkowo z bardzo nieprzychylną oceną krytyków. „*Literaturna Gazieta*” z dnia 15.XI. 1951 r. zamieściła sprawozdanie M. Zorina z literackiej dyskusji nad powieścią Lacisa. M. Zorinowi wyniki dyskusji posłużyły jako pretekst do rozbudowanego, krytycznego ataku na utwor Lacisa. Dogmatyczny i ciasny sprawozdawca dojrzał w powieści brak typowych procesów społecznych, nietytułowego bohatera, a zatem odstąpił od prawdy życiowej Lacisa natomiast w swej powieści, w sposób przekonywujący, posługując się bogatym materiałem faktycznym, pokazał skomplikowany przebieg walki klasowej, która przenika wszystkie dziedziny życia człowieka. Proces ten trafia uogólnienie w utworze losy Ajwara, przynarzonego syna kulaka. Fakt, że świadomość polityczna, wyraźne opowiadanie się po drugiej stronie barykady kazaly Ajwarowi zwrócić się przeciwko swemu przybranemu ojcu-kulakowi, krytyk uznał za zjawisko przypadkowe, nietytułowe, nieodpowiadające ogólnej prawdzie życia. Zarzut ten z namietną pasją odparował czytelnicy: „*Tylko ludzie, którzy nie znają życia i wierzą we wszechpotęgę kulaków mogą myśleć, iż rodzinny kulaków i ich popleczyków mogą stać się przeciw uderzeniem ruchu ludowego, że w okresie tamania wszechkier starzyzny, rodzinny kulaków i ich popleczyków mogą jako by zachować się w całości. Nie, rozkład życia rodzinnego kulaków i ich popleczyków jest w okresie wzrośnięcia ruchu kolchozowego nie przypadkowym zjawiskiem i niezwykłym epizodem, lecz prawem życia*”. W ten sposób czytelnicy stanęli w obronie mistrzostwa artystycznego i głębokiej znajomości rzeczywistego życia w utworze ułbnionego pisarza.

Starcie poglądów, jakie miało miej-

stwo z okazji utworu Lacisa oraz bezkompromisowe odrzucenie fałszywego stanowiska pewnej części zawodowych krytyków, przyczyniło się niewątpliwie do dalszego kroku naprzód w rozwoju myśli krytyczno-literackiej, stanowiącej praktyczne i teoretyczne uogólnienie zasad estetyki realizmu socjalistycznego. Trzeba wyraźnie podkreślić, że pewne wspólne błędy krytyki literackiej, które przy okazji powieści Lacisa i Dymowa wystąpiły szczególnie ostro, wypływają nie-



wątpliwie z fałszywego, nietwórczego posługiwania się wytycznymi estetyki marksistowskiej. Pewna część krytyków z uznanych powszechnie podstaw estetycznych marksizmu próbuje wykuc sztywny kanon talmudycznych praw, do którego przypasowuje żywy materiał literacki. Jeśli autor nie pasuje do dogmatu — krytyk mówi — tym gorzej dla utworu — i pisze sążnistą recenzję, gdzie wykazuje przede wszystkim nietytułowość problemów i oderwanie utworu od rzeczywistości. Każda prawda abstrakcyjnie słuszna pełnię konkretnej realizacji znajduje w praktyce, w społecznym działaniu człowieka. Tworzenie izolowanych, oderwanych od życia kanonów jest zaprzeczeniem dialektyki, kłóci się z duchem marksizmu, prowadzi do tworzenia idealistycznych, apriorycznych, do niczego nieprzdatnych reguł. Niestety, jak

wskazują doświadczenia dyskusji radzieckiej i bułgarskiej, część krytyków przejawia tę szkodliwą tendencję.

Zimą na księgarskim rynku bułgarskim ukazała się nowa powieść Dymitra Dymowa pt. „*Tytoniu*”. Utwór ten, polskiemu czytelnikowi jeszcze nieznanym, mówi o monarcho-kapitałistycznym okresie życia Bulgarii do momentu wybuchu powstania ludowego w dniu 9.IX. 1944 r. i wyzwolenia

kraju przez Armię Radziecką. Dotyczy zatem skomplikowanego i trudnego do prawidłowej analizy okresu bułgarskiego 20-lecia, drugiej wojny światowej i wielkiego zrywu wyzwolenieckiego bułgarskich mas ludowych. Bezwygodna demaskacja rodzimej burżuazji, powiązanej z fałszywym niemieckim, przeprowadził autor na przykładzie najbardziej zwyrodniałego odłamu imperialistycznej burżuazji bułgarskiej — magnatów tytoniowych. Produkcja tytoniu była w tym okresie kluczem otwierającym możliwości zasadniczego wpływania na ekonomiczne i polityczne losy Bulgarii. Wokół bułgarskiego tytoniu toczyła się walka międzynarodowych koncernów, a jej wyrazem były takie lub inne modyfikacje politycznego oblicza Bulgarii. W fabrykach tytoniu hartowała się jednocześnie najbardziej rewolucyjna kadra bułgar-

skiej klasy robotniczej, która stanęła później na czele ludowego powstania. Wybór tej właśnie problematyki i związanych z nią bohaterów powieści zdecydował o wielkim historycznym rozmachu utworu i jego dynamizmie ideowym.

Książka Dymowa wywołała ogromne zainteresowanie w całym kraju; stała się przedmiotem dyskusji kolekcji literackich, świetlic wiejskich, uzyskała dużą ilość bardzo obszernych recenzji literackich, poświęcono jej wreszcie trzydniowe obrady w Związku Literatów. W toku tak obszernych dyskusji nad książką Dymowa ujawniła się zasadnicza rozbieżność zdań w ocenie utworu między częścią zawodowej krytyki literackiej z jednej strony a masowymi czytelnikami z drugiej strony.

Typowa dla stanowiska krytyki wobec książki Dymowa jest obszerna recenzja „*Tytoniu*”, jaką dał Pantelaj Zarew w czolowym bułgarskim piśmie literackim „*Literaturn Front*”. Inne recenzje i wypowiedzi dyskusyjne w Związku Literatów były tylko szczegółową, niekiedy pretensjonalnie śmieszoną ilustracją zasadniczej tezy artykułu Zarewa. Zarew, jak cała zawodowa krytyka, został zaskoczony niezwykle bogactwem artystycznym „*Tytoniu*”, subtelną, obfitą, zindywidualizowaną charakterystyką postaci, skomplikowaniem ich wewnętrznego życia, bogactwem stylowych możliwości autora. Schematyczny krytyk zdziwił się i z kolei oburzył się na antyschematyczny, pełen życia i prawdy utwor Dymowa. Z dokładnością pedanta Zarew wykazuje wszystkie „odstępstwa” Dymowa od wymyślonego przez siebie schematu zasad estetyki marksistowskiej i drobiazgowo przepisuje na powieść realizmu socjalistycznego. Ponieważ postacie ujemne są skomplikowane psychicznie — rozumie krytyk — zatem autor poddaje się burżuazyjnemu estetyzmowi, ulega wpływom schyłkowej powieści burżuazyjnej lubiącej się w badaniu „wnętrza” swych bohaterów. Zarew, jak większość krytyków-dogmatystów, próbuje przy pomocy pseudoargumentów estetyki marksistowskiej zwalczać bogate i skomplikowane psychicznie sylwety

bohaterów negatywnych, beztroško nalepiając wszędzie etykietę — „wpływ burżuazyjnego estetyzmu”. Dymow, jak słusznie podkreśliło później „*Radzieckie Delo*”, obrał słuszną i trudną drogę demaskacji burżuazji poprzez pokazanie nie tylko afer tytoniowych, ale także ciąglej, nieuniknionej degeneracji moralnej ludzi tej klasy, ich pustki duchowej, cynizmu moralnego. Tak pomyślana jest główna postać utworu — Borys Morew, dyrektor „*Nikoljany*”. Morew — wilk o mocnych zębach, zimno i z



Lauret Nagrody Dymitrowskiej — DYMITR CHRISTOROW RAKOW, z przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej „*Gorski Izvor*”.

wyrachowaniem toruje sobie drogę w kapitalistycznej dżungli — od drobnomieszczańskich kręgów społecznych do bułgarskiej plutokracji tytoniowej. Morew, doskonały swe zdolności aferyzisty, organizatora-przemysłowca, coraz bardziej zatracca się moralnie, cynicznie łamie życie osób związanych z nim uczuciowo, wreszcie przerażony skierowaną przeciwko niemu falą gniewu ludowego szuka wyjścia w nadmiernym używaniu alkoholu. W przeddzień powstania 9 września Morew — jeden z tych, którzy rządzą Bulgarią — zapłył na śmierć zginął w starciu z klasą robotniczą. Tę koncepcję postaci bohatera, która zachwycała czytelników, krytycy uznali za nietytułową, przesadnie skomplikowaną, nieodpowiadającą prawdzie życia. Dymow,

jak najbardziej daleki od wytartego mieszczańskości moralu, „że pieniądże nie dają szczęścia”, z wielką siłą wyrazu pokazał niszczenie człowieka przez pieniądż i ustrój, którego pieniądż jest podstawą. Zarew, nie rozumiejąc tych zbyt widocznie skomplikowanych spraw, dostrzegł w utworze jedynie „*burżuazyjne estetyzowanie motywu tragicznego i melancholijnego*” owych, jak pisze krytyk, „*wstrętnych uczuć*”, na widok których moralny purysła Zarew robi brzydkie grymasy oburzenia.

ANDRZEJ DRAWICZ

LUDZIE KTÓRZY ZDOBYLI FRAGAŁA

WARDA i bezwzględna jest walka jaką toczą masy pracujące Zachodniej Europy o prawo do pracy, o chleb, o niepodległość swych krajów, zagrożonych brutalną, nietytułową i zamaskowaną agresją imperializmu amerykańskiego. Ze szczególną siłą i ostrością przebiega ona w kraju, gdzie ster rządów po fałszywie uchwylił ręką jego pogrobownicy i wskrzesiciele — chrześcijańscy demokraci — gdzie w związku z tym problemy społeczne: bezrobocie, drożyzna, głód ziemi zmobilizowały miliony ludzi do walki politycznej. Tym krajem są dzisiejsze Włochy — kraj de Gasperiego i Scelby, setek tysięcy bezrobotnych, żyjących w skrajnej nędzy i zamykanych z rozkazu amerykańskiego fabryk; kraj setek tysięcy malorolnych i bezrolnych przymierających głodem — i miliony hektarów obszarzanych nieużytków. Ale są to także Włochy Togliattiego i Nenniego, dwumilionowej partii komunistycznej i potężnego, ogólnonarodowego ruchu obrótców pokoju.

Cały ten splot zagadnień znany przede wszystkim z prasy i publicystyki. Fragmenty jego artystycznego odbicia przyniosły postępowe filmy włoskie — szeroki wachlarz problemów zasygnalizował w swych „*Spotkaniach włoskich*” Marian Brandys. Dopiero jednak nowo wydana powieść Juliana Strykowskiego „*Bieg do Fragała*” — daje pełniejszy, bo w formie zobjektywizowanej epickiej narracji ujęte odbicie kwestii, bodaj najbardziej palącej, jaką jest we Włoszech sprawa ziemi.

Zrodzimy się od razu — odbicie to jest jak najbardziej zgodne z obiektywną rzeczywistością, a fakty w nim zawarte składają się na rzetelną realizację zamierzenia autorskiego. Słuzę temu zarówno wybór miejsca — wieś Rocca di Zolfo — typowe środowisko południowego krańca Włoch — Kalabrii — jak i czasu — w okresie bowiem od zimy czterdziestego ósmego do jesieni czterdziestego dziewiątego roku wypadki o których mowa w powieści nabrały również znamion typowości. Stało się jasnym, iż partia rządząca nie jest w stanie rozwiązać rażącej dysproporcji ekonomicznej sytuacji Włoch. — Dwa miliony hektarów nieużytków i milion bezrobotnych robotników rolnych — przy tym wszystkim zaś import 1.903 tysięcy ton amerykańskiej pszenicy — oto bilans burżuazyjnej gospodarki. Inicjatywy podjęły masy, z okrzykiem „*Terra, non guerra*” (Ziemi, nie wojny!) rozpoczęto zasiewanie obszarzanych ugorów. Początkowo wystąpienia były sporadyczne i układowe — pamiętamy z kart powieści końcową scenę jej pierwszej części — rzucenie ręką sekretarza miejscowej kompartii — Armandę, padającą nocą pierwsze ziarna w zoraną glebę kotliny Fragała. Ale już w maju wybuchła zwycięska, czterdziestodniowa strajk robotników rolnych. Padł ofiarą, podwalnią „*ministra*” — palki” Scelby wszczynają masowe represje. W od-

* *Julian Strykowski, Bieg do Fragała, Czytelnik 1951.*

powieści jesienią ruch zajmowania ziemi przybiera charakter masowy. Tak też dzieje się w książce. Co więcej — końcowa scena — starcie policji z proletariatem wiejskim, zwycięskie, ale okupione krwawymi ofiarami wydaje się być ścisłą transpozycją lzw. „*masakry w Melissie*” — gdzie w dniu 30.XI, na gruncie tego samego co w powieści obszarnika — barona Berlingieri — zabiło w czasie akcji zasiewu dwóch młodych chłopów.

Stwierdzamy więc ścisłą zbliżność autorskich założeń z obiektywną rzeczywistością. Ta pierwsza, ale nie jedyna zasługa — sama nie mogłaby stanowić o wartości książki. Strykowski potrafił ogólny schemat wypełnić żywą treścią. Obrazem życia i spraw najmniejszych, tj. robotników rolnych nie nadął cech łatwej barwności i egzotyki — przeciwnie podkreślił jego cechy najbardziej ogólne i istotne. Cechy te — to wspólna bieda i niedostatek, odbijające się na ludziach poprzez zawężenie kręgu myślowego do spraw własnego podwórka i codziennej wegetacji, poprzez zrosłość i ostrość we wzajemnych stosunkach, poprzez ostrość i brutalność konfliktów osobistych, których podłożem są zagadnienia bytu. W tych warunkach siła kierowniczą i przodującą stają się nie oby klasowo karabinier Prerco i zakłamywaną, działającą według najlepszych watykańskich wzorów duszpasterz — ksiądz don Luigi, ale komórka Komunistycznej Partii Włoch. Lokal partyni jest zarzeczem osrodkim życia społecznego, insylnyk klasowy ściąga tam także niezorganizowanych i wahających się. Powstaje więc zaufania — najtrwalszego, bo wyrobowanego w kolejnych etapach walki; to partyjniczy niwersal ruszający na podbój Fragała, to oni prowadzą mieszkańców Rocca di Zolfo na manifestację w obronie swego aresztowanego działacza do Crotone, pod ich wodzą odbywa się ostateczny szturm na latyfundię barona Berlingieri. Wielu naszych młodych pisarzy, tak często nie wiedzących co zrobić z sekretarzem partii mogłoby się z tych kart wiele nauczyć.

Toteż dziwi w pierwszej chwili fakt, iż w centrum powieści umieszcza autor postać najmniej może dla środowiska reprezentatywną. Obiekt autorskich zainteresowań — Salvatore do Meo przybywa do wsi z zewnątrz i przez dłuższy czas jest jej sprawom ideowo obcy. Służba u australijskiego farmera nadała jego ideałom życiowym określony charakter — a horyzont jego marzeń uzmiałowia pragnienie posiadania indywidualnej własności. „*Mnie starczyłyby mały kawałek ziemi, żebym mógł żyć spokojnie*” — mówi w rozmowie z karabinierem, usiłującym zeń zrobić swego konfidenta. Usiłowania te, podobnie jak i perfidne propozycje księdza don Luigiego nie przyniosły rezultatu — przede wszystkim jednak dlatego, iż Tote chce iść swoją własną drogą i nie widzi potrzeby angażowania się po jakiegokolwiek stronie. „*Nie bracie, ja tylko czakam*” — odpowiada z kolei swemu bratu-komunistę, gdy ten rozłącza

perspektywy wspólnej walki. Uporczywe usiłowanie zachowania neutralności musi skończyć się fiaskiem — Tote nie daje się sprokocować do wysłpień przeciw bratu i ogółowi wiejskich najemników, choć wspomniany wyżej inspirowany wygrają — chytrze jego osobiste uczucia — ale obydwoje strony odbarzają go w konsekwencji nieufnością. W sposób subtelny i precyzyjny prowadzi autor swego bohatera do stopniowego uświadomienia sobie bezradności takiej postawy. Obnaża ją w całej rozciągłości rozmowa z sekretarzem partii — Armandem.

„*Ale jednego nie możecie o mnie powiedzieć — odezwał się nagle cicho Salvatore — przeciw wam nigdy nie byłem. Nie chciałem.*”

— *Ech, wiem — powiedział Armando — ale też nie z nami. W tym cała bieda.*”

Przełom jest już blisko. Jego bezpośrednią przyczyną jest udział — prawda, że tylko w roli obserwatora — w walce jaką muszą stoczyć najemnicy w okresie swego zasiewu. Uczestnictwo w pokojowej manifestacji w Neapolu, jego konsekwencje w postaci aresztu i brutalnego przesłuchiwania dopełniają miary. Salvatore zdążył w przełomowym momencie stanąć ramię w ramię ze swymi braćmi z Rocca di Zolfo. Ginie już jako świadomy bojownik za słuszną sprawę — i śmierć jego nie pojździe na marne — umocni i spoleguje wśród towarzyszy wolę walki aż do zwycięstwa.

Analiza rozwoju postaci jest jak widać, podobnie jak analiza sytuacji i środowiska, przeprowadzona w sposób pełny i wszechstronny. Ślad też ewolucji bohatera staje się w pełni umotywowana i całkowicie przekonująca. Fakt jednak pozostaje faktem — Salvatore jest z gruntu odmienny od reszty otoczenia — nie jest jego najbardziej typowym przedstawicielem. Toteż kreowanie właśnie jego na postać czolową wydaje się sugerować określony zamiar autora odnośnie adresu książki — ma go widocznie stanowić gruna ludzi wciąż jeszcze niezdecydowanych, wahających się — a więc pewne kręgi inteligentkie. Ze zabieg ten nie łączy struktury powieściowej decydującej o tym w dużym stopniu metoda pisarska autora. Salvatore nie został bowiem zbyt silnie wyeksponowany na pierwszy plan — jego osobiste perypetie nie zawęzają nigdzie obrazu całości, całości tak plastycznie i wszechstronnie nakreślonej, tak umiejętnie zindywidualizowanej, że ona to zaciąga głównie na wyobraźni czytelnika. Tote jest po prostu jednym z wielu i choć lepiej by się stało, gdyby tym jednym był ktoś o bardziej zdecydowanym obliczu — czy sam Armando czy też Vito lub Gianni — konstrukcja tego typu nie wykrzywia w sposób zasadniczy struktury powieści, nie odbiera jej, a tylko cokolwiek zaciera, właściwy i słuszny sens polityczny. Z rzutu tego nie należy zbytbytno wyolbrzymiać tym bardziej, że skupienie uwagi na postaci Salvatore daje autorowi duże korzyści w zakresie konstruowania

fabuły — w obrębie jego działalności zbiegają się przeciw nici konfliktów inspirowanych przez wrogie czynniki — to zaś pozwala na lepsze zrozumienie mechanizmu całej walki.

Jeśli już robić zarzuty — to raczej wchodziłyby w grę bardziej już marginalna kwestia zbytniego może odizolowania Salvatorego od działalności ideowych kierowników proletariatu Rocca di Zolfo, w środkowych partiach utworu. Po wstępnych badaniach Gianniego, a przed rozmowami z Armandem i Vitem, Tote jest wystawiony wyłącznie na działanie wroga — prób przeciwdziałania, systematycznego wychowywania niedostatecznego posiadacza jako że strony ko. unistów nie widąc. Scena śmierci bohatera może razić nieco zbyt jaskrawą symboliką — niespójność jednak nie przynależy, że nadaje ona zakończeniu powieści silnie emocjonalny i mocno przemawiający charakter.

„*Usypiano trzy mogiły. Fragała została zdobyta przez Mattea, Lina, Salvatore na zawsze. I na zawsze wśród łanów pszenicy na byłych odłogach obszarzanych pozostaną trzy mogiły: maleńkiego Mattea, młodego Lina o srebrnych oczach i Salvatore, który zdążył.*”

Zasługą wielkiego talentu autora jest fakt, iż z kolei on zdążył ukazać ewolucję swego bohatera wraz z całą gromadą mieszkańców wioski w sposób całkowicie przekonujący. Najemnicy w ostatnich kartach książki to już także nie ci sami ludzie, którzy początkowo patrzyli podejrzliwie na „*komunistyczny chleb*”, dostarczany im przez towarzyszy z fabryki w Crotone. Niedawno komórka partyjna powiększyła się o nowych członków. Ale nawet nie to jest najistotniejsze, bo „*właściwie wszyscy w Rocca di Zolfo są komunistami, nawet jeżeli myślą, że nimi nie są.*” Z czegoż ust padły te słowa? Wypowiedział je umundurowany bandyta, filar burżuazyjnego porządku, karabinier Prerco. Wrog mąd rację, ale rację też należało udowodnić — a to się Strykowskiemu w pełni udało. Umiejętnie została podporządkowana zasadniczemu celowi technika pisarska — pozorne suchy, beznamiętny, całkowicie zobjektywizowany tok narracji, skąpy ale plastyczny opis, subtelnie i konsekwentnie stosowana indywidualizacja postaci — występuje ich przecież tak wiele, a ich wypowiedzi i zachowanie pozwalają lepiej, niż obco brzmiące imiona poznać ich i zapamiętać — wszystko to przyczynia się do tym pełniejszej realizacji autorskiego zamierzenia.

W konsekwencji — uzyskaliśmy dobrą, wartościową książkę. Bije z niej optymizm, bije poczucie siły ludzi, którzy walczą o słuszną sprawę. Ludzie, którzy zdobyli Fragała — ci którzy zginęli, i ci którzy zbierają z niej plony, odnieśli w tej walce swoje pierwsze zwycięstwo. Wiemy, że w ostatnim boju zwycięstwo będzie także do nich należeć. Ich walka jest naszą walką. Książka Strykowskiego pomogła nam to lepiej zrozumieć.

Andrzej Drajicz

(Dokończenie na str. 7-jej)

JULIAN STAWIŃSKI

W WALCE Z NAJAZDEM NA EUROPE

PRZED dwoma laty Walter Lippmann, czołowy publicysta imperializmu Stanów Zjednoczonych, wyluszczał i krytykował plany europejskiej polityki USA:

„Nasi przywódcy nawołują do stworzenia zjednoczonej Europy, której częścią istotną muszą być Niemcy. W rzeczywistości staramy się włączyć tylko CZĘŚĆ Niemiec do CZĘŚCI Europy. Jest to sprzeczne z podstawowymi pragnieniami narodu niemieckiego: przekreśla jego dążenie do jedności, a wmontowanie w blok zachodni wcale nie zapewnia mu bezpieczeństwa. Wychodziliśmy dotąd z założenia, że Niemcy można uczynić podrzędną częścią budowy politycznej, rządzonej z Waszyngtonu. Obecnie złudzenia te przysy. Walka prowadzona przez nas o Niemcy przywraca im pełną polityczną. W walce tej pozycja nasza słabnie, los Niemiec wymyka się nam z rąk. Blok zachodni wcale nie jest jeszcze gotów. I wcale nie jest powiedziane, że Niemcy zechcą do niego przystąpić. A także nie jest powiedziane, że uda się ich uzbroić dla celów przyszłej wojny. W każdym razie odpowiedź na wszystkie te pytania nie leży w naszym ręk. Udzielił jej Niemcy, Niemcy, które mają głębokie poczucie swej misji historycznej.”

Miał rację Lippmann w swej ocenie wydarzeń. Ale nie rozumiał — lub nie chciał zrozumieć przyczyn. Ale nie potrafił — lub nie chciał — wysnuć wniosków. Mocodawcy Lippmanna utworzyli w trzech strzałach zachodnich Niemiec oddzielny rząd i, zgodnie z zapowiedzią prasy waszyngtońskiej, przekazali w nim władzę przedstawicielom wielkiej finansjery. Realizowali w ten sposób program dobitnie i treściwie ujęty przez doradcę gospodarczego Mc Cloya, Wilkinsona: „Do diabła z demilitaryzacją Niemiec; odbudujemy z powrotem trusty i oddamy je nazistowskim posiadaczom i dyrektorom!”. Ludzili się, że jak pisała „New York Herald Tribune”, „doszliśmy do zakrętu drogi; okres Jałty minął; podział Niemiec da nam wolną rękę, aby strefy zachodnie włączyć w system zachodnich państw”. Ludzili się — a złudzenia płynęły istotnie z owego założenia, na jakie wskazywał Lippmann — że „Niemcy można uczynić podrzędną częścią budowy politycznej rządzonej z Waszyngtonu”.

Ale naród niemiecki szedł w przeciwnym kierunku do tego, jaki zakładała zamiana terroru hitlerowskiego na terror Adenauera. Szedł ku wolności — politycznej, społecznej i gospodarczej. I nie kto inny jak sam Eisenhower stwierdzał z goryczą i niepokojem, że według danych amerykańskich bur wojkowych „85 proc. ludności zachodnio-niemieckiej sprzeciwia się demilitaryzacji”. I żądał stanowczo od Adenauera, aby pod żadnym pozorem nie pozwolił na przeprowadzenie plebiscytu. Adenauer słowa dotrzymał. Nie dopuścił ani do plebiscytu w sprawie demilitaryzacji, ani do plebiscytu w sprawie zjednoczenia. Lecz mechanicznie odebranie głosu narodowi nie mogło zmienić rzeczywistości. Wyczuwał to republikański senator Taft, a obawy swe ujął zupełnie niedwuznacznie: „Niemcy wiedzą, że stacjonowanie wielkiej armii w Niemczech oznaczałoby zniszczenie tego kraju, który stałby się jednym olbrzymim polem bitewnym w nowej wojnie; biorąc to pod uwagę, należy przewidywać, że naród niemiecki nie przystanie na poważne zbrojenia”.

Część Niemiec do części Europy chcieli włączyć imperialiści Wall Street, budując przyzwołe dla celów agresji, dla celów przyszłej wojny. Ale właśnie budowa tego przyzwoła, właśnie okupacja Francji i Włoch przez wojska amerykańskie, przez amerykańskie koncerny, przez amerykańską politykę — wzmagają narastanie w tej części Europy fali rewolucyjnej, wzmagają też od tej strony w Niemczech Zachodnich opór mas przeciw polityce okupacji i przegotowań wojennych, przeciw Ameryce.

„Potęgi politycznej” nie mogą Niemcom przywrócić kartele nadrenskie, ani zaprzędany Departamentowi Stanu reprezentant „podręcznej części budowy” — Adenauer. Potęgę polityczną może Niemcom przywrócić tylko niemiecka klasa robotnicza, jednocząca cały kraj w jedną republikę demokratyczną, budowaną, jak w NRD, dla nowego życia, dla dobra mas naroda, a więc jednoczącą uciśnianą część Niemiec z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Wsluchany w wołanie „Ohne uns!” Walter Lippmann jeszcze przed dwoma laty pisał, że „prysły” złudzenia amerykańskie, że „słabnie nasza pozycja”, że „Niemców nie uda się uzbroić”, że „los Niemiec wymyka się nam z rąk”.

Pisał więc o rosnącej w Niemczech Zachodnich woli wolności i woli zjednoczenia z NRD. Pisał o amerykańskich zabiegach obrony przed tą rosnącą wola, o zabiegach obronnych okupanta! I gdyby myśli Lippmanna rozważać, ich kształt byłby mniej wącej taki:

„Choć przysły złudzenia, na których oparliśmy naszą politykę — nie zmieniliśmy jej założeń. Wbrew podstawowym pragnieniom narodu niemieckiego i przekreślając jego dążenie do jedności usiłujemy nadal przemocować uczynić Niemcy podrzędną częścią budowy politycznej rządzonej z Waszyngtonu. Staramy się rozzerwać naród niemiecki, wziąć w otwartą niewolę jego część poddaną naszej władzy i rzucić otwarce do walk bralobieżnych w oparciu o propagan-

dę, która przemawiać może tylko do dyrektorów karteli. Zapominamy, że zagłębie Ruhry to nie tylko Krupp a nie robotnicy, że nie ma już Prus nie ma więc warunków do junkierskiego zjednoczenia. Blok zachodni nadal nie jest gotów, a Niemcy mówią nam wyraźnie, że nie chcą do niego przystąpić, nie chcą zbrojeń i nie chcą wojny. Rozdzierając naród niemiecki ułatwiliśmy tylko powstanie w NRD Piemontu, który na cały rozdartą kraj, na cały rozdartą naród promieniuje. I dlatego los Niemiec wymyka się nam z rąk ostatecznie”.

I dlatego — „Utworzenie pokój miłującej Niemieckiej Republiki Demokratycznej — pisał Józef Stalin 13 października 1949 w depeście do prezydenta Piecka i premiera Grotewohla — jest zwrotnym punktem w dziejach Europy. Nie ulega wątpliwości, że istnienie Niemiec demokratycznych i pokój miłujących obok istnienia pokój miłującego Związku Radzieckiego — wyklucza możliwość nowych wojen w Europie i uniemożliwia ujarzwienie krajów europejskich przez imperialistów świata”.

Okupant więc, broniąc swych łupów, zagrabionych, gdy inni walczyli z faszyzmem, bronił się przed rosnącą wbrew jego woli i przed rosnącą jednością Niemiec — demokratycznych i wolnych, ostoju pokój w Europie. My dobrze jakiej odpowiedzi udzielił Niemcy na pytania stawiane przez rzecznika Wall Street, jakiej udzielił odpowiedzi, gdy zaczęła przemawiać pełnym głosem. Wnieśliśmy, że wówczas nas jego będzie przeszedł. I, chcąc odsunąć wyrok, narzuca traktat wojenny — „układ ogólny”.

Cóż jednak przeciwstawia zdolną panowie przemysłu wojennego, gdy Piemont powstanie, by bronić narodu? Nie pójdzie przeciw niemu i narodowej armii naród z Łaby, lecz stanie w jej szeregach. Słychać jego głos protestu, wymierzony w „układ ogólny”, a więc w USA — 150.000 w wiecu w Monachium, 80.000 w Norymberdze, 60.000 w Halle, 60.000 w Chemnitz, słychać już echo sa w policyjnych, od których ginie w Essen młody obrońca wolności swojego kraju.

ANDRE STIL



André Stil to tryumf francuskiej jasności...

Jasność, rzucana na wojnę bakteriologiczną. Jasność — na okupację amerykańską we Francji. Jasność — na układy międzynarodowe, decydujące o losie Francuzów — za ich plecami. Jasność, ukazująca faszyzmu jego istotę obłudnego reżimu, narzuconego przy pozorach patriarchalności, w której Pinay przemienia się w Joannę d'Arc dla prasy amerykańskiej.

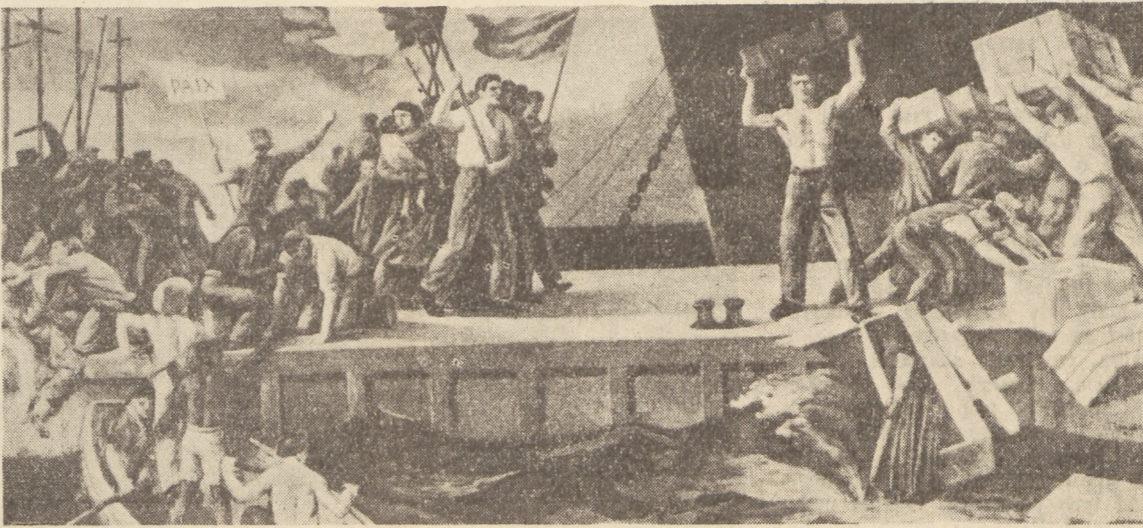
Kłóż w to uwierz, że spośród wszystkich mogących interesować się tego Bauresa, André Stil znalazł się pierwszy na liście aresztowanych z powodu jednego zdania w artykule? Aresztowano André Stila, ponieważ napisał „Pierwszy cios”, a jest to książka snopem jasnego światła, padającego na okupację amerykańską we Francji.

Aresztowano dziennikarza, komunistę, poetę. A jest to jeden i ten sam człowiek. Osadzono go w więzieniu Santé, w tej części, która przed laty pięćdziesiąt była kwatery niemieckiej. W pobliżu zamknięty był wówczas inny poeta, Jacques Decour, zamordowany przez gestapo. I dziś wario przypomnieć słowa ostatniego listu, jaki przed śmiercią napisał Jacques Decour: „Myślę, że jestem trochę, jak liść opadły z drzewa, który użyna głębię. Jakobyśmy głąbieli od takich liści. Mówię teraz o młodzieży francuskiej, w której składam wszystkie moje nadzieje...”

Ta młodzież, o której myślał Decour, nazywa się Henri Martin, nazywa się André Stil. Na nic nie zdał się mord, i tryumf nazistów, i zdrada ludzi Vichy. Młodzież francuska bierze wzór z rozstrzelanych. Stawia opór dziś, tak jak stawiała wtedy. Na tamtych przykładzie nauczyła się, że nie wolno dać sobie zaciemnić drogi. Aresztując Stila spodziewano się utraty nadzieji ciemności. Ale słonca za krawędź nadal świeci. I wszystko staje się naraz jasne wobec faktu, że André Stil MUSIĄŁ ZOSTAĆ ARESZTOWANY w przeddzień przyjazdu generała Dolara.

Louis Aragon

Z artykułu L. Aragona o A. Stilu.



Walka o pokój

Mal. Wojciech Fangor

„Blok zachodni wcale nie jest jeszcze gotów” — pisał Lippmann. Ani wówczas, ani nigdy gotów nie będzie. Prysły i te złudzenia. Na wątlim oparciu epigonów Vichy i pogrobowców Mussoliniego usiłowano zmontować zaplecze dla baz wypadowych przyszłej agresji. I tu, tak jak w Niemczech, robotno rachunek bez narodu. A naród wypowiedział się twardo i wyraźnie i wcześniej nawet, niż padał odpowiedź Niemiec za Łabą.

Osiem lat temu, z hasłem wyzwolenia na ustach, ładowali na brzegach Francji Amerykanie. Wkroczyli do Paryża i wkroczyli do Rzymu. Dziś w tych samych miastach, miasteczkach i wsiach, gdzie ich wiano jako nosicieli wolności, rozbrzmiewa hasło: „Ami go home! Wracajcie do siebie! Via gli Americani!”

Mingło właśnie tych osiem lat. Francuski przemysł tekstylny zatrudniał dawniej 600.000 robotników. Dziś z tej ogromnej liczby pół miliona stanowią bezrobotni — częściowo lub całkowicie. To dzieło planu Marshalla. Podobny los dotknął przemysł lotniczy, samochodowy, skórzany — Francja nie wytwarza już teraz nawet jednej pary obuwia na głowę ludności rocznie. Równocześnie powiększa

się import broni ze Stanów Zjednoczonych i rosną kredyty na „brudną wojnę” w Wietnamie, wzmagana na skutek nalegań Waszyngtonu. „Ale sprawy już szły za daleko” — burżuazja francuska nie może się cofnąć — oto wniosek jakim kończy refleksje nad „smutkiem przepadłych spraw” zblizony do chadecji francuskiej „Le Monde”.

Zbyt wiele tu, jeszcze niedomówień. Oddajmy głos postępowemu pisarzowi. „Przed siedmiu laty — mówi Joann Berlioz — zwyciężył Związek Radziecki, zwyciężyły kraje demokracji ludowej i ogromne Chiny, a jeszcze miliony istnień ludzkich, które już nie chcą dłużej żyć w ucisku „wojnej przedsiębiorczości” też rwą się do zwycięstwa. Kapitalizm utracił wiele, a grozi mu, że utraci wszystko. 5 czerwca 1947 r. chyłała się do upadku klasa usłyszała wolanie na trwogę generała Marshalla, podówczas sekretarza stanu: „Ustrój współczesny stoi w obliczu zagłady”. Gdy Wall Street uświadomiła sobie zaostanie się ogólnego kryzysu kapitalizmu, wczorajsi sprzymierzeńcy, występujący jako oswobodziciele, przekształcili się w najeźdźców. Przyjacielską wymianę czekolady na

bukiety kwiatów zastąpiła plugawa wymiana na nędzę i krew”. Z tym więc przyszły wysłannicy finansowych monopolii USA do kraju, gdzie klasa robotnicza w walce z zaborcą hitlerowskim i w walce z kolaboracją Vichy wysunęła na czoło narodu. Nadchodzi rok 1949. „Rok przejścia” — mówi Berlioz — od ujarzżenia ekonomicznego do ujarzżenia militarnego Europy Zachodniej. Gdy jest to rok, w którym monopolie amerykańskie wybrały „Raczej wojna niż kryzys”. Rok, w którym za oceanem przestają się ludzi, że Związek Radziecki nie zdoła podnieść się z run, rok, w którym ustrój w krajach demokracji ludowej ostatecznie okrzepł, w którym Mao Tse-tung dokonał wyzwolenia Chin”.

Jakież wnioski wysnuwają Amerykanie w obliczu potężniejących sił socjalizmu, w obliczu narastania dążeń niepodległościowych w Wietnamie i Indonezji, na Filipinach i w Afryce, w Japonii i na Bliskim Wschodzie; w obliczu wzmagania się dynamiki rewolucyjnej w krajach Europy Zachodniej, owej „części Europy” przeznaczonej na merzwę dla agresji? We Francji „zadomowili się wszędzie, pokładli nogi na stołach. Weszli do

„AMERYKANIE DO AMERYKI”

(Fragment powieści „Pierwszy cios” *)

ROZWINĘLI sznur, gdy znaleźli się ponad fasadą najlepiej widoczną, ponad otworami, przez które wchodziły lodzie niemieckie, gdzie słychać było jak plusk wody basenu gubi się w niepokojącym głośnie długich sklepień. Papillon powiedział: — To będzie jeszcze bardziej niewiarygodne niż to, cośmy zrobili na kanale.

— No, tamto także było już coś! — poprawił Kleber.

— Puszke z farbą trzeba złożyć na ramię, które trzyma sznur. Nie da rady inaczej — powiedział Yonsséf.

Papillon okrzyczał sznur, który trzej pozostali naciągali. Zbliżyli się cofając do prostopadłe uciętego brzegu tarasu, puszka na ramieniu, plecy zwrócone ku przepaści. Tam powiedział jeszcze do Klebera:

— Niech no tylko ten twój wynalazek trzymał

Zwisł, odchylając się trochę do tyłu.

— Opuszczaj powoli... nie za szybko!

Opuścił się. Stracił go z oczu. Czuli tylko jego ciężar. Usłyszeli, że ich wzywa.

— Trzymajcie mocno, pójdę tam — powiedział Kleber. Henri i Yonsséf wsparli się o siebie ramionami, żeby dać z siebie więcej siły.

— Ten wasz sznur przetrze się o kant — powiedział do wychylnego nad nim Klebera, Papillon.

— Zarządź coś na to — odparł Kleber.

Uprowadził pozostałych, że muszą dalej ciągnąć bez niego. By zapobiec przetarciu się sznu o kant betonu nie znalazł innego sposobu, jak to, że wcisnął pod spód własne ramie, kładąc na bruchu wzdłuż brzegu.

Następnie za każdym razem jak Papillon skończył jedną literę, Henri i Yonsséf znękali się, Kleber podnosił się i pomagał im podciągnąć tamtego do ich poziomu. Papillon wspomagając się nogami przesuwając się kawałek w bok. Operano następnie z powrotem sznur o brzeg, aby było łatwiej trzymać. Kleber, ze zmartwiałym ramieniem, znalazł co innego. Podłożył pod sznur swoją starą kurtkę, zwłinięta... Nie czuł zimna ciągnąc razem z tamtymi. Jednakże niedługo potem Henri zdjął swoją kurtkę:

— Weź, włóż moją na chwilę. Pamiętaj o Gilberte...

— Bedziemy ją wkładać na zmianę w takim razie — powiedział Kleber, decydując się ją włożyć.

Po każdym przesunięciu, Papillon mówił w jakimś trye, by mieć pewność, że nie zgubił po drodze jakiegoliter. Gdy wymalował AMER, zawołał:

— Wyciągaćcie.

Stanął na brzegu i powiedział: — Nie czujcie ramion. Ta farba robi się sucha jak się ją kładzie na beton. Nie rozsmarowujcie się. A tu trzeba ją oszczędzać.

Yonsséf zajął jego miejsce. Za każdym razem, gdy skończył literę i przesunął się, pytał się jaka jest następna:

— To na pewno N teraz?

— To na pewno I teraz?

Gdy doszedł do AMERYKANI, miał także dosyć. Papillon wrócił na swo-

je miejsce. Powiedział tylko, podnosząc puszkę:

— No bracie, ależ szty!

Doszedł do AMERYKANIE DO AME.

Wyciągnęli, powiedział: — Ręka mi się wprawia. Zrobilem o jedną więcej od ciebie. I ty mówisz o sporcie!

Opuszczając Yonsséfa, Kleber schwylił przypadkiem w miejscu, gdzie mimo podłożonej kurtki sznur przetarł się na betonie.

— Yonsséf, wracaj! — Krzyknął, ciągnąc. — Szybko!

Gdy Kleber wyjaśnił rzecz i dał do pomocania innym uszkodzenie sznura, Yonsséf miał do wyboru: pójść za strachem, spóźnionym ale prawdziwym, ogarniającym wszystkie zakamarki jego kruchości postaci lub zachować godność wobec towarzyszy:

— Nie można jednak zostawić napisu w połowie — oświadcza.

— Ja pójdę — proponuje Henri.

— Nie bądź wariat! — protestuje Yonsséf natychmiast gotów wziąć to za obrazę. — Jestem lżejszy od ciebie...

Dlatego wybrano Papillona i mnie. A poza tym ty nie umiesz nawet pływać, Kleber powiedział to przed chwilą...

— No bracie, pływaj przy tej wysokości? — przerywa Papillon. — O tym nie ma mowy. Nie chodzi też o to, kto pójdzie, tylko czy można pójść...

— Na ludziach, którzy zobaczą to jutro zro' one do połowy — odpowiada Yonsséf — wywrze złe wrażenie. Tamci będą górą... — I dodaje: — Trzeba spróbować, powoluku.

Papillonowi przyszła myśl, żeby przeciąć sznur i związać, ale wczel mógłby się rozsunąć, ryzyko byłoby może jeszcze większe. Nie powiedział nic. — Trzeba trzymać sznur przed miejscem uszkodzonym, stojąc na samym brzegu — powiada Kleber.

— Ale Yonsséf wola z dołu.

— Jestem dwa razy za wysoki!

Pochylają się, klękając, kładąc się na brzuchach, aby nie spaść. Przeszkadzają sobie jednak nawzajem.

— Jestem jeszcze za wysoki — woła Yonsséf — to wyjdzie okropnie!

— Jak on się drze! Przez niego wykrzyją nas wszystkich, jeśli tylko jego krzyk trafi na przetrze w powietrze!

— Idźcie do tyłu, tylko wytrzymaj.

J będą go dalej trzymać poniżej uszkodzenia, na wypadek gdyby... — mówi Kleber.

Jest rozciągnięty wzdłuż brzegu, ramiona rozkrzywione na sznurze, jedno w dole, drugie wyciągnięte w stronę He riego i Papillona. Z całych sił ściga sznur z przeciwnych stron. Całe ciało jest węzłem mięśni, który wzmacnia chore miejsce sznura...

Trzyma. Ale zaraz trzeba przesunąć Yonsséfa. Jedno R to nie trwa długo. Znow w trzech pochylają się nad skrajem.

— Teraz Y — szepece Papillon.

Poczem d' Henriego:

— A może by się dało od razu napisać K, ludzie zrozumieją. — Zostaw Yonsséfowi — mówi Henri... — Yonsséf! Jeśli chcesz, pisz od razu K, ludzie zrozumieją mimo to! Jeśli chcesz.

— Nie bądź wariat — mówi Yonsséf. — Jakbyśmy wyglądali? I nagle: — Przesuwajcie szybko, zbliżajcie się dwa ścianą.

To prawda. Daleko, przy końcu basenu, dwie latarki kołyszą się wolno zbliżając się w rytmie kroków, na wysokości człowieka. Usłyszeli może wolania...

Gdy Yonsséf skończył, latarki są zupełnie blisko. Słychać już głosy, które rozlegają się pod sklepieniami nor lodzi podwodnych.

— Gdyby nie było I — powiada zupełnie cicho Yonsséf — powiedzieliby, że nie umiemy pisać.

— Bądźcie cicho — mówi Henri — to strasznie. Jeśli nie słyszeli, przejdą nie nie zauważysz... My tutaj jesteśmy w każdym razie schowani...

Słyszą jednak fak facie zatrzymują się, podnoszą głos, następnie biegną po betonowym nadbrzeżu. Z pewnością wielkie czarne litery na jasnej fasadzie znalazły się w polu widzenia ich latarek. Teraz spowodują alarm...

Na szczęście zejść jest łatwiej niż wdrapać się. Z tyłu bazy są trzy wstępy, każdy nieco ponad trzy metry nad brzegiem, oraz gładka ściana betonu wysokości przeszło dziesięciu metrów, o którą jednak wspiera się ogromna góra żwiru. Można się opuścić z jednego wstępu na drugi, związając na rekach. Na szczęście ma się niecałe cztery metry nżej stok żwirowego pagórka, najlepsze miejsce do skoku, małe zacielenie.

Tu jednak Papillon się waha...

— Ja nie mam już dwudziestu lat, polamię sobie na tym łapy, albo krzyż. Już tamte skoki czuję w kolanach. Zobaczymy was w moim wieku!

— W takim razie jest tylko jeden sposób — przecina Henri — ponieważ C.R.S-owcy będą tu za minutę. Patrz, reflektor już się zaczyna obracać. Spuszczamy cię na sznurzeł mi skaczemy potem...

Gdy sznur się urwał Papillon był prawie na dole. Nie zrobił sobie krzywdy w żwirze. Inni roześmieli się iak mali chłopcy wykonując wielkie skoki na żwir, w którym człowiek zapadał się do pasa. Potem biegli niemal na czworakach w stronę ogrodzenia, unikając reflektora. Przebyli je w pośpiechu. Papillon zawsze maruder, siedział jeszcze na górze, okracając zakończenie drutów, gdy reflektor zatrzymał się na nim. Spał jak worek, jak mógł. Słychać było równocześnie krzyki i nagły strzał. W powietrze zapewne, ale zawsze strzał.

„Na szczęście Papillon był już na nogach i umykał jak zając po drugiej stronie bulwaru, w cieniu domów, unosząc swoją puszkę i pedzel.

U Klebera mają chwilę spokoju, żeby wychnąć. Jest dom jak wszystkie inne. Nie ma powodu, żeby tu mieli przyjąć.

— Uważajcie, żeby nie obudzić mamy — mówi Kleber.

— No bracie — podsumowuje Papillon — ałosmy mieli wrażeń! A Henri, poważny:

— Wicie, to fantastyczne, że nam się tam udało. W czasie wojny...

W każdym razie — przerywa Yonsséf — zobaczymy jutro. Papillon, który z nas dwóch ma ładniejszy charakter pisma.

tłumaczył: Marian Czerwiński

*) Fragment powieści „Pierwszy cios”, odznaczonej Nagrodą Stalinowską II stopnia.

naszych najlepszych mieszkań, do ministerstw, do portów i kosków gazotowych, do naszych fabryk i na nasze ekrany. Wracając się do wszystkich naszych spraw: do składu rządu, budżetu, systemu szkolnictwa, stanu zatrudnienia, do ruchu robotniczego, aby go rozbić, do fabryk, aby je zagarnąć, lub aby je zamknąć! Wspiera ich burżuazja, osłabia i w okupancie, jakim się stał przedstawiciel Wall Street, widząca jedyną ocalenie. „Jeśli chodzi o zyski klasy — mówi Lenin — burżuazja gotowa jest zdradzić ojczyznę i zawrzeć porozumienie przeciw swemu narodowi z każdym obcym państwem”. Nie stało Hitlera — przyszedł Truman.

Taki jest obraz „działań obronnych” burżuazji przeciw rosnącej we Francji fali rewolucji. Takie są też próby obrony słabnących z dnem każdym pozycji USA, które muszą się bronić tam, gdzie chciały zbudować wojenny przyzwołek przeciw socjalizmowi, skąd chciały uderzyć w serce postępu świata.

Ale naród francuski nie podnieśli broni przeciw Armii Radzieckiej — powiedział Thorez. Francuska klasa robotnicza rozbiła złudzenia amerykańskie i narodziła się nie bieżące walczył przeciw Związkowi Rad — stwierdza Togliatti. A jego stanowisko raz jeszcze poparł naród udzielając zwłędstwa frontowi lewicy w wyborach samorządowych.

Rozważania Lippmanna minęły bez echa. Agresorzy chwytają się środków ostatecznych. Nie widzą odwrotu, w obronie swoich załamujących się pozycji szukają rozwiązania faszyzowskich. W Niemczech podpisują „układ generalny”, we Francji rzucają pojęcie na tłum, organizują rewizję i łapanki, aresztują przywódców klasy robotniczej. Liczą na zastraszenie, na skutki terroru. Lecz terror uprawiany przez kapitalizm ginący, wywołany strachem padającego tyrała, to smród rozpacz i beznadziejności. Umiecka tylko sły klasy robotniczej i, miast rozładowywać, prze do rewolucji.

„Doświadczenie — pisał André Stil tuż przed aresztowaniem — wskazuje naszemu ludowi, że coraz mniej ne wruszony staje się czarny mur park i karabinów, za którym schronili się nowi kolaboranci — kapitaliści francuscy i ich lokaje. I właśnie dlatego tak bardzo odczuwają potrzebę na naszej ziemi armii cudzoziemskiej i generala, jak R d'waya, zdolnego do wszystkiego. Ale też właśnie dlatego, odmawiając stanowczo udziału w agresji, naród nasz nie chce również Ridgwaya”.

I naród na każdym kroku daje temu wyraz. Przepasany trójbarwną szarfą, oznaką urzędu, Louis Dolly, burmistrz Villejuif, fabrycznego miasteczka pod Paryżem, zatrzymuje orszak pancerny Ridgwaya: „Masto Vaillant-Couturiera nie pozwoli przespicy wojennemu kawał swoich bruków! Precz!” Następca Eisenhowera, dowódca kosmopolitycznej legii faszyzowskiej, stanął oko w oko z przedstawicielem prawdziwej armii wyzwolenia zachodu Europy.

Bo burmistrz Villejuif to jeden z miliona, to żołnierz nieprzełomzonej armii walczącej o pokój. „Czy ludzi się pan — pisał Stil, już z więzienia, do aresztującego go sędziego, uderzając zarazem w cały reżim Pinaya — czy sądzi pan, że zabroni milionom Francuzów potępić agresywną wojnę przeciw ZSRR, potępić niszczenie Francji i przekształcanie jej w pustynię, potępić zbrojenie Niemiec odwetowych oraz importowanie do nas wojsny domowej, na wzór Korei i przez tę samą armię amerykańską? Czy ludzi się pan, że zabroni im myśleć to, do czego się przynależ sam Ridgway — że przybył dla dokonania we Francji dzieła, jakie rozpoczął w Korei? Pożary napalmowe, bakteriologiczne naloty i masakry jeńców wojennych są dla naszego narodu straszliwym ostrzeżeniem. Umacniają jego stanowczą wolę osiągnięcia zupełnie zmiany polityki, ustanowienia rządu szerokiej jedności demokratycznej, rządu niepodległości i pokoju, w którego powstaniu masy pracujące widzą rozstrzygający etap w swej walce o socjalizm, o likwidację ustroju wyżysku człowieka przez człowieka”.

Ani sędzia śledczy, ani Pinay nie mają złudzeń. Ale ulegają woli obcej, którą wezwali i która nimi rządzi, idą torem wojny, torem przekształcania Francji — mówią słowami Stila — „w poduszkę atomową, za którą agresorzy spodziewają się ukryć, po pierwszszym zadanym ciosie, w nadziei osłonięcia się przed zwycięskim przeciwuderzeniem Związku Rad i krajów demokracji ludowej”. Idą torem oddana armii francuskiej pod komendę hitlerowskich generałów, torem ostatecznego zaprzędania niepodległości Francji.

Ale właśnie ta droga wywała tylko coraz potężniejsze siły rewolucji. „Albowem świat pracujący Francji — wołał Stil i głos jego na próżno usiłują zagłuszyć lokaje Wall Street — lud Francji widzi coraz jaśniej — poprzez swą walkę dzisiejszą o chleb, o pokój i niepodległość — oświawiającą perspektywę socjalizmu, który i u nas pomości, jak pomógł już w Rosji w październiku 1917, pełną chwały Komuny 1871 roku, pierwszy w dziejach przykład prawdziwego państwa proletariatu”.

Julian Stawiński

TADEUSZ RÓŻEWICZ

W MIASTECZKU TATABANYA

Tatabanya 19.12.50 r.

DZIS popołudniu był u mnie w mieszkaniu górnik Tajkov Andras. Tajkov należy do najlepszych górników na Węgrzech. W kopalni na dole pracuje dopiero od dwóch lat. Przed tym pracował jako ślusarz mechanicznych, ale kiedy okazało się że dół potrzebuje ludzi, zgłosił się ochotniczo. Tajkov ma trzydzieści dwa lata, jest żonaty i ma dwoje dzieci. Mieszka w nowym osiedlu robotniczym, w mieszkaniu złożonym z dwóch pokoi i kuchni, z wygodami. O swojej pracy mówi, że myśli o niej i w wolnych chwilach „czasem jak się przebudzi w nocy to kombinuje jak zorganizować pracę swojej brygady”.

Tajkov był kilka tygodni w Polsce w Zakopanem wraz z grupą Węgierskich przodowników pracy. Był na Śląsku, widział nasze kopalnie i zetknął się z polskimi górnikami. Poznał też Kraków, gdzie bardzo się mu podobał Wojewódzki Dom Kultury. Spytałem go podstępnie, czy to prawda, że „organizm górnik najlepszy konserwuje się w spirytusie”, ale Tajkov odpowiedział, że nie pije. Ożywił się wyjątkiem uroczystości albo ważniejszych okazji towarzyskich, bo już wtedy „to nawet wypada”. Uprawia ją to z zamiłowaniem pływaniem. Tajkov jest szczupły i niski. Opowiada, że na pewnym ajeżdźcie podszedł do niego górnik ogromnego wzrostu z plecami jak szafa, kiedy olbrzym dowiedział się, że to właśnie Tajkov otrzymał złotą odznakę i najwyższą premię z rąk Rakosiego, to „aż pięść grzył” i wołał: „a taki mały”. Na to Tajkov pokazał na głowę... co wywołało ogólną wesołość. Miałem okazję na drugi dzień wiedzieć go przy pracy, na dole. Ubrał mnie tam w kopalni w hełm skórzany, górniczy, w kombinizon bardzo obszerny, gumowe buty, a do ręki dał mi lampkę górniczą benzynową. Widziałem „Magyar — Szoviet Tarsasag Brigad” („Brygadę Przyjaźni Węgiersko - Radzieckiej”) przy pracy. Mogłem się dokładnie przyjrzeć robocie Tajkova i jego towarzyszy, teraz Tajkov siedząc w moim pokoju spoglądał na notatki i książki leżące na stole i z zaciekawieniem pytał o moją pracę. Objasniałem mu więc urządzenie mojego „warsztatu”. Zegnął się ze mną Tajkov uśmiechnął się: — „Jak weźmiesz pióro do ręki to zawsze naciskam zbyt mocno... bo pióro jest takie lekkie!”

Tatabanya 20.12. 1950 r.

MOJ dzisiejszy spacer. Jak dobrze jest chodzić po ulicach nieznanego prowincjonalnego miasta. Mija się wystawy niewielkich sklepów, idzie się na pocztę, potem ogląda się afisze kina. Siedzi się w pustym parku, w grudniowym słońcu. Nad drzewami, które są podobne do kłębów czarnych kości wlecie się dym. Niecka w której leży Tatabanya wypełniona jest ciągle dymami, których słodkawy zapach czuje się na podniebieniu; czarne dymy walczą tu z mlecznymi, które wyrzucą z siebie cementownia. W drugiej połowie grudnia, ten łagodny poranek był taki zaskakujący, jak kwiat wywabiony ciepłym słońcem z wnętrza śnieżnej pokrywy. Właśnie skłamałem się po Tatabany, zaglądałem do sklepów, wysłałem do Polski pocztówkę z pozdrowieniami a nawet zagadałem do dwóch małych cyganek, które ciągnęły wózek z drzewem i nie byłem wcale urażony, że nie odpowiedziały na moje przyjazne słowa, tym bardziej, że były one wypowiedziane po polsku. Szedłem ulicami wzdłuż których stały parterowe domki rodzin górniczych... Wszędzie robi się świąteczne porządkie. Przez niedyskretne szybki okien widać wnętrza domów, bo jedyna niektórych ulic usypana jest na wysokości okien. Z wielu mieszkań dochodzą tony muzyki na każdym dachu można zobaczyć anteny radiowe a pod dachami gołębniki; górnicy, którzy pracują w ziemi Kochają muzykę i ptaki, które są mieszkańcami powietrza.

Biednie i przynębiające wyglądałyby te domki, gdyby tutaj ludzie nie czuli potrzeby piękna. Przy domach są niewielkie ogródki otoczone parkanikami, które zielenią się o tej porze roku świeżą farbą, wśród grządek podobnych teraz do zwalów błota. Każda rodzina starała się, aby rozszerzyć swoje ciasne gniazdo; stąd ganezki doczepione do drzwi wejściowych, altanki w ogródkach, różne budki i dobudówki, które cisną się do ścian domów. Widziałem jeden domek, który przypominał domki z bajek. Na sztachetach ogrodzenia wymalowane barwne kwiaty; furtki strzęgą długobrodę figurki krasnoludków; jeden z nich oparty jest na młocie. Do drzwi domu prowadzi chodnik ułożony z kolorowych płytek, wygląda jak kilim. Mimo, że błoto cieknie wszystkimi ulicami, ten domek jest czysty, jakby wyjęty z pudełka.

Zbliża się Boże Narodzenie i ani „widu ani slychu” o drozie i śniegu. W „A.łami Aruhaz” (dom towarowy) kłębi się tłum interesantów. A właściwie nie kłębi, tylko porządnie przesuwa się od kontuarów i stoisk w stronę kas. Dużo tu kupujących, przy stoiskach z obuwem, w dziale galanterii, bielizny. Największy tłok przy zabawkach dla dzieci, ojcowie i matki

kupują czerwone, zielone piłki, traktory, konie, samoloty, niedźwiedzie, lalki, kloki... Za kilka dni gwiazdka. Na ulicy rozgadane kobiety z koszykami i torbami. Ktoś tam niesie na ramieniu jodełkę i jednocześnie informuje o jej cenie, widocznie jest wysoka, bo pytający aż wykrzykują z wrażeń. Na Węgrzech lasów jest mało a w okolicach Tatabany jeszcze mniej. W prywatnych handlowkach, których tu jest jeszcze sporo ruch jest mały. Na wystawach wycieczne jest z sobą wszystko: nici, sznurówka, cukierki, skarpetki, jajka, widokówki, czosnek obok końskiej jatkki. Salami jest nadzwyczajnie różowe i naszpikowane żółtą słoniną. Wśród tych produktów rzeźnik umieścił portret Petőfiiego ozdobiony girlandami kwiatów z zielonej, białej i czerwonej bibulki. Wielki poeta i rewolucjonista węgierski został tu użyty do zmanifestowania uczuć patriotycznych właściciela końskiej jatkki... Wczoraj rozmawiałem przypadkowo z „byłym” kupcem. Zaczął rozmawiać „z ogródkami”. Wreszcie się rozgadał... Miał piękny sklep z całym urządzeniem a teraz... macha ręką. „Pan będzie o nas pisał”? Potwierdziłem, „Pewnie, że to dobrze”? Potwierdziłem, „Miałem piękny sklep... a teraz pracuję w kopalni”.



Księgarnia „Traktor” w Turkeze

Dotknął palcem piersi i powiedział jakby z bólem „meszaros, meszaros”. Nasz „meszaros - rzeźnik” miał żal do ludowego państwa. Ileż różnych żalów ukrywają sklepikarze za portretami bohaterów narodowych i za kolorowymi chorągiewkami? W księgarni, obok której przechodziłem, pustawo. Kilku cywiliów, jakiś podoficer „honwedów”. Przed „Domem Górnik” piękne stoisko z książkami. Tutaj zebrało się więcej kupujących.

Największe powodzenie mają książki dla dzieci z kolorowymi obrazkami, oczywiście w związku z „gwiazdką”. Na ścianie nowy afisz, wyrysowany kredkami, zawiadamiający, że w Domu Górnik odbędzie się wieczorem przedstawienie.

Wieczorem oklaskiwałem występy górniczych zespołów amatorskich. Sala teatralna w Domu Górnik może pomieścić jakieś pół tysiąca ludzi. Sciany są ozdobione hasłami wypisa-

nymi na czerwonych transparentach i portretami. Nad sceną złoczą się litery górniczego pozdrowienia „Jószeresenét”. Szała była wypełniona, jak to mówią sprawozdawcy, „po brzegi”. Między sceną a widownią kontakt jest bardzo żywy, wszyscy się znają. Siedzą tu rodziny aktorów, ich koleżdy, koleżanki. Wiedzą kto kogo „gra”. Program dzisiejszy był bogaty. Najpierw śpiewał chór, potem odegrano jednoaktową sztukę o walce partyzanckiej z hitlerowcami. Na scenie wyrosły drzewa, palilo się ognisko, były rozmowy partyzanckie i walka ze strzelaniem, w czasie której dzieci na widowni piszczały z wrażeń i uciechy. Po tej sztuce odbyły się tańce, w których wystawiono drugą sztukę jednoaktową. Cała rzecz działała się w sztabie amerykańskiego generała a obok równocześnie wartownicy, prości żołnierze amerykańscy, toczyli rozmowę, która była jakby komentarzem do tego, co się działo w sztabie. Widziałem już tę sztukę w Budapeszcie w zawodowym teatrze, ale bardziej podobała mi się w amatorskim teatrze górników. Dlaczego? Spróbuję na to odpowiedzieć. W Budapeszcie przedstawienie było bardzo „naturalistyczne” a jeśli chodzi o stroje, to niczym się one nie różniły od prawdziwych. General, w mundurze identycznym z mundurami noszonymi przez wyż-

Kartki z węgierskiego dziennika

LUCYNA SZCZEGODZIŃSKA

DOTRZEĆ Z KSIĄŻKĄ DO CZYTELNIKA...

(Z doświadczeń Wojewódzkiego Domu Kultury w Katowicach)

PORÓŻNIAMY dwa stopnie analfabetyzmu, rzeczywisty i ten, który można nazwać analfabetyzmem czytelnym. Bardzo wielki procent bo wiem naszych obywateli, są ci, którzy nie czytają, bo nie mają żadnego nawyku czytania, zupełnie nie umieją posługiwać się książką jako narzędziem pracy. Mówię, narzędziem pracy i pomocy, gdyż postawiliśmy sobie za zadanie doprowadzenie książki do robotnika.

Do hut i wielkich zakładów przysłały nowe maszyny, wprowadzono nowe metody pracy. Musimy robotnikom pomóc w zaznajomieniu się z nowymi metodami, nowymi maszynami, a jak to można zrobić, jeżeli on nie czyta, a że tak często bywa, przekonały nas badania i obserwacje przeprowadzone w szeregu zakładów pracy.

Nasza biblioteka Wojewódzkiego Domu Kultury w Katowicach postawiła sobie wyraźne zadanie — dotrzeć z książką do tego czytelnika, który z tej książki nie korzysta. Powiedzieliśmy sobie, że musimy upowszechnić książkę przez kontakt literatów z robotnikami, przez wymianę doświadczeń, przez nawiazanie bezpośredniej znajomości. Ale okazało się, rzecz dość dziwna, nasz robotnik nie zawsze rozumiał literata. W momencie kiedy organizowaliśmy nawet ciekawe i duże imprezy, kiedy przychodzili literaci na zakład pracy, robotnicy wysłuchali, pokiwali głową i nic. Bo nasz śląski robotnik, dla którego gwarą była wykładnikiem języka polskiego, nie rozumiał ich. Analiza wykazała, że ten kontakt nie daje dostatecznych wyników w postaci zainteresowania się książką. Było to raczej zainteresowanie się osobą pisarza.

Postanowiliśmy więc z kolei wciągnąć do recenzowania tych, którym książka została poświęcona. Interesowały nas nie tylko powieści, literatura piękna, miała być ona w naszym ręku narzędziem do mobilizowania, ale najważniejsze było zainteresowanie robotnika książką techniczną, nawiązującą do zagadnień z jakimi jest on bezpośrednio związany. Dlatego do recenzowania wciągamy nie tylko literatów, ale i tych, którzy z zagadnieniami tymi są powiązani. I tak książkę Igiżewa „Gwiazdy nad kopalnią” recenzowali górniczy Bartoszek z kopalni Bolesław Smiały, Kotelarczyk z kopalni Katowice. O powieści „Stal i szlaka” Popowa mówili łącznie literat Aleksander Baumgarten i inżynier-stalownik z huty Pokój. Nad książką Morenka dyskutowali z autorem starzy górnicy i uczniowie liceum górniczego. Zagadnienie rybactwa zainteresowało 20 proc. górników mieszkających na tym terenie, książkę Zakrutina p.t. „Pływająca stacja” recenzował inżynier ichnolog Rys.

Równocześnie wytworzyliśmy atmosferę zainteresowania książką i czytelnictwem przez organizowanie dużych imprez na zakładach pracy. Tymi imprezami chcemy zainteresować nie tylko robotników nie czytających, tych nie tyle opornych, ile nie rozumiejących jeszcze książki. Na nasze bowiem wielkie imprezy przychodziła tylko część załogi danego zakładu pracy, dlatego, że warunki śląskie są tego rodzaju, że w każdym w zakładzie pracy znajduje się tylko niewielka część tych, którzy mieszkają w pobliżu. Prawie 73 proc. zatrudnionych, to ludzie dojeżdżający, i o tym, żeby taki pracownik po wyjściu z zakładu pracy mógł wrócić do niego, nie ma mowy. Trzeba znaleźć inne wyjście z tej sytuacji.

Prawdę powiedziawszy, wielu rzeczy uczyniliśmy od samych robotników i teraz kierunek naszej pracy wskazał nam nie kto inny, tylko sa-

mi murarze z katowickiego Osiedla Górniczego Koszutka.

Po nowym roku postanowiliśmy zorganizować żywą recenzję książki Husarskiego pt. „Nowy Mur”. Ponieważ aktualnie jest zagadnienie współzawodnictwa, zagadnienie nowych metod, zainteresowaliśmy tą imprezą całą szereg ludzi, wychodziliśmy bowiem z założenia, że nie tylko murarz musi być poddany naszemu działaniu propagandowemu, ale i ci wszyscy, którzy się z tymi imprezami będą stykali. Więc zainteresowaliśmy Zarząd Okręgu Związku Pracowników Budowlanych, który niestety na naszym terenie z trudem przelamuje swoją obojętność w stosunku do książki, zainteresowaliśmy Zarząd bezpośredniego Zjednoczenia. Tamtejsza Rada Zakładowa wzięła książkę, przeczytała, przedyskutowała, a więc zwiększył się front zainteresowania „Nowym Murem”. Następnie dostarczyliśmy książkę kierownikowi budowy, mówiąc: „Weźcie to towarzyszu, przeczytajcie tam występuje kierownik budowy, który ma rozmaite trudności, powiecie nam ze swej strony, jakie trudności u was występują. Z kolei przeprowadziliśmy rozmowy z samymi murzarami. Rozmowy odbywały się na wysokości 3 piętra, na bujających się deskach. Niemniej nasza obecność wywołała wielkie zainteresowanie — nie tyle książka, ile nasze pojawienie się na tym piętrowym rusztowaniu z książkami pod pachą wywołało duże zainteresowanie, a nam chodziło o to, żeby się pytali: A co? A gdzie? A dlaczego?

Ale nam to nie wystarczyło. Żeby zdobyć większą ilość murarzy i przygotować ich do czytania książki powędrowaliśmy w ciemny, deszczowośnieżyście wieczór po błocie za miasto, gdzie znajdują się baraki hotelu robotniczego. Przyjęła nas gościnnie ciepłym świetlkiem, w której właśnie odbywało się szkolenie partyjne. Gdy wyjaśniliśmy cel naszego przybycia, sekretarz Podst. Org. Part. powiedział: „Świećcie, chodzi o współzawodnictwo, dajcie nam tę książkę, bo mamy własne szkolenie partyjne i przeprowadzamy ze słuchaczami zagadnienie współzawodnictwa. Odczytajcie to nam, a my będziemy umieli dalej doczytać książkę współzawodniczym”. Przyjęcie przez nas książki zostały natychmiast rozchwytały. Następnego dnia przysłaliśmy jeszcze 5 książek. Murarze, którzy wzięli książki zobowiązali się do czytania ich głośno w barakach.

Ale była to tylko część naszych przygotowań. Aby pogłębić zagadnienie współzawodnictwa, obok recenzji książki Husarskiego, postanowiliśmy odczytać felieton z „Dziennika Zachodniego”, opisujący współzawodnictwo murarzy z Koszutki z czołowymi murzarami warszawskimi, z murzarami z Muranowa, w wyniku którego zwyciężyli budownicowie Koszutki.

I tego jeszcze było nam mało. Powiedzieliśmy sobie, że wysłuchanie nawet najpiękniejszego felietonu i najlepszej podanej recenzji książki jeszcze nie wywoła w nich uczucia zainteresowania. Dlatego postanowiliśmy, żeby w części artystycznej dać fragment „Wodewilu Warszawskiego”, mówiący o budowie i budowaniu oraz wciągając wszystkich obecnych na imprezę do odpiewania piosenki „Budujemy Nowy Dom”. Fragmenty te miały wykonać zespół górników kopalni „Stemianowice”. Chodziło o to, że zespół murarzy, który budował Koszutkę, budował to osiedle dla górników, niech więc górnicy dadzą murarzom nie tylko gościć, ale i ten wieczór i odpiewają piosenkę. Gdy zobaczyliśmy próbę, ogarnęła nas rozpacz. Wprawdzie ci górnicy „murarze” grał i śpiewał dobrze, ale o murarce nie mieli pojęcia. Ci górnicy, którzy doskonale fedrują, węgla i wycią-

gają wielkie procenty wydajności, murują w straszny sposób. Ta część „fachowa” wodewilu była zupełnie tragiczna. Jak tu pokazać murarzom fachowcom, że on tak źle robi ich robotę. Kiedy zapytaliśmy górników, czy widzieli kiedy, jak się muruje, jednogłośnie odpowiedzieli: „Nie”. Byli nawet zdziwieni naszą rozpaczą, gdy oświadczyliśmy, że nie mają pojęcia, co oznaczają wszystkie fachowe terminy, używane w wodewilu, — „Przecież nie możemy rzucić roboty na grubie i przystać do murarzy” — oświadczyli nam. Wyjaśniliśmy im, że wcale tego nie trzeba, wystarczy zaaprobować na próbę prawdziwych murarzy, którzy im pomogą. Ale że to byli górnicy, więc wzięli na ambit i aby nie kompromitować siebie i nas, cały zespół wybrał się na budowę i tak długo kręcił głowę murarzom, aż go wreszcie zapoznali z podstawami pracy na budowie.

Na 3 dni przed imprezą na terenie budów i w korytarzach baraków hotelowych umieściliśmy barwne afisze, zapraszające do wzięcia udziału w wieczorze.

Wiele mieliśmy ciekawych i miłych imprez. Ta była chyba najprzyjemniejsza. Niestety jednak, mimo przygotowań i obietnic, nie udało się nam szerzej wciągnąć do dyskusji murarzy i ich pomocników. „Wiedzie — powiedział jeden z nich — to bardzo, bardzo ładne, nam się to wszystko podobało, ale tu u was, w tym wojewódzkim Domu Kultury, jest jakoś tak elegancko, tak strasznie elegancko, że człowiek zapomina języka w gębie. Przyjdzie do nas, tam to my sobie wśród swoich pogadamy”.

Przyjdzie do nas — oto co zrozumieliśmy z tej wypowiedzi. „Nam tu wśród was jest obco. Murarz, pracownik często sezonowy, nie ma odpowiedniego wyrobienia towarzyskiego i społecznego. Wstydzi się w większym gronie obcych wypowiedzieć swoje myśli i uwagi. — Przyjdzie do nas? — Dobrze, posłaliśmy bezpośrednio z budowy po umyciu się i odbyliśmy po raz drugi podobną imprezę, bez żadnej potrzeby wbijania się w świąteczny garnitur i tam dogadaliśmy się z nimi językiem murarskim. Tam oni powiedzieli: „Ladnie to ten pisarz napisał, ale chyba nigdy nie był członkiem Partii, nigdy chyba nie był na budowie, bo takiego Józka chcą tam uczyć, szkolić starsi robotnicy, a my przecież mamy kurs szkolenia, musimy tych mamlałów dopilnować, żeby się chcieli uczyć”.

Jaki wynik? 62 nowych czytelników w miejscowej bibliotece i zapotrzebowanie na komplet wymienny, oraz 30 punktów zorganizowanych na budowach różnego typu przez pracowników, którzy wzięli udział w naszej imprezie.

Ale te wyniki, to nie wszystko, co chcemy osiągnąć. Dobrze, 60 czytelników, ale na Koszucie pracuje znacznie więcej, więc co z tą resztą, nie mają czytać? Nam mniej chodzi o tych, którzy stale do nas przychodzą i czytają, bo mamy już na nich wpływ, ale jak zachęcić tę resztę do czytania, jak to zrobić, jak trafić, jak dojść do nich, jak pokazać piękno tej książki, jak nauczyć ich korzystać z tej książki?

Postanowiliśmy odpowiedzieć sobie na to pytanie, badając wyniki naszego działania na jakimś mniejszym zakładzie pracy. Z braku czasu nie mogliśmy sobie pozwolić na prowadzenie obserwacji na terenie bardziej oddalonego zakładu, wybraliśmy więc sąsiadującą z nami bezpośrednio pralnie chemiczną, w której zatrudnionych jest 167 osób, przeważnie kobiety. Gdy zaczęliśmy organizować tam naszą pracę, zakład nie posiadał ani świetlicy, ani biblioteki. Załoga pracuje na 2 zmiany.

Po uprzednim porozumieniu się z kier. zakładu tow. Krzemieńskim, rozpoczęliśmy robotę w ten sposób, że przywędrowaliśmy do pralni z książkami w koszu od bielizny. Kierownik zapraszał do siebie do gabinetu każdego z pracowników i wspólnymi siłami staraliśmy się namówić go do wypożyczenia książki. Większość załogi patrzyła na nas, jak gdyby nasza propozycja była jakimś szataniskim pomysłem i oświadczyła, że nie ma czasu na czytanie książek, a my niektórych pracowników były takie, jakby czynność czytania przekraczała pojęcie zdrowego rozsądku. Nie licząc tylko grupa 37 osób przywzięta naszą inicjatywę jako rzecz bardzo im odpowiadającą.

W tym roku powiedzieliśmy sobie: dobrze, ale reszta, czy zostawimy ich w spokoju? Nie. To nie z nami sprawa. Więc co robić?

Przed wszystkim postanowiliśmy sobie znaleźć kogoś, kto będzie naszym ambasadorem na danym zakładzie pracy, łącznikiem między pracownikami a nami, i o dziwo, znaleźliśmy go bez żadnego trudu. Jest nim tow. Czaplinski Jerzy, kontroler wewnętrzny pralni i jednocześnie drugi sekretarz Partii. Zgodził się z wielką radością pomagać nam w upowszechnianiu czytelnictwa na terenie swego zakładu pracy, czując się wyróżnionym przez to, że ma bibliotekarzom pomagać, bo jest to jeden z tych, którzy chętnie z biblioteki wypożyczają książki. „Wylowiliśmy” go przeglądając karty czytelników pralni. Przy jego pomocy zorganizowaliśmy coś w rodzaju wypożyczalni w portierni pralni, przez którą przechodzą wszyscy pracownicy. Tow. Czaplinski przypomina swoim kolegom o terminie naszego urzędowania w tej pralni, namawia do czytania, przynajmniej opieszale do zwrotu przetrzymanych książek. A z wielką powagą i głębokim przejęciem opiekuje się naszymi książkami starannie portier pralni.

Nasza akcja propagandy czytelnictwa spokojnie się zgroźną kontrakcją. Pralnia bowiem zatrudnia między innymi i zawodowe pyskaczki, co to już wszystkie rozumy zjadły.

Ale raz wraz gromadka tych ostatnich zwracamy uwagę na portierki, gdzie znajdują się książki, ot tak, żeby sobie tylko pogadać. Kiedyś w czasie jednej takiej pogawędki wylowiliśmy na wierzch książkę Chołwińskiej „Pomidory”. Czerwone plamy pomidorów, zdobiące tytułową okładkę skupiły uwagę wszystkich. A co to? A o czym? — czytały zgromadzone. O pomidorach — odpowiedziała bibliotekarka — może ktoś z was ma ogródek, może któraś z was hoduje pomidory?

Trzykrotnie tego dnia nasza pracowniczka biegła do magazynu po żądane książki. Obywateli! Detela Lucja i Gibała Jadwiga, które dawniej z pogardliwą obojętnością odnosili się do nas i do książek i oświadczyły stanowczo, że absolutnie nie mają czasu na czytanie, zapisały się jako czytelniczki i systematycznie wymieniają książki.

Sprawa z „Pomidorami” przekonała nas ostatecznie, że nie powieść, ale łatwiejsza książka fachowa, ma największą szansę zdobycia tego zupełnie nowego czytelnika. Przekonał nas o tym i na dużych zakładach pracy w kopalniach i hutach, organizując propagandę książek technicznych. Interesowały one nawet tych pracowników, którzy wręcz odmawiali korzystania z biblioteki. Przekonywaliśmy nas o tym także zyczenia bibliotekarzy z punktów wymiennych.

Lucyna Szczegodzińska

Przemówienie na konferencji bibliotekarzy.

Tatabanya 21. 12. 1950 r.

WOLNA Szkoła Artystyczna w Tatabanyi jest szkołą dla górników. Oto jej krótka historia. W roku 1946/7 przyjechał do Tatabanyi Ludwik Luźnica, młody malarz z Budapesztu. Skończył w Budapeszcie Akademię Sztuk Pięknych, ale zrezygnował z nabierania oglady artystycznej w stolicy i przyjechał do oszodka górniczego. A nie była to mała rzecz dla młodego artysty, większość malarzy i prawie wszyscy literaci węgierscy mieszkają w Budapeszcie. Luźnica wszedł odważnie i rozglądał się po ludziach. A właśnie tak się złożyło, że górniczy „samie ze siebie” zaczęli szukać kogoś takiego, jak Luźnica. Między górnikami byli tacy, co rysowali i malowali z zamiłowaniem. Schodzili się po pracy, rozmawiali o swoich obrazach, aż wreszcie te zebrań weszły w zwyczaj i odbywały się już regularnie. Ale nie było między nimi artysty malarza, kogoś, kto miałby za sobą specjalne studia w tej dziedzinie, kto potrafiłby objaśnić, poprawić błędy i ocenić pracę. Właśnie wtedy przyjechał Luźnica, górniczy prosił żeby dawał im lekcje; z biegiem czasu otrzymali swój specjalny lokal. Następnie podzielił na specjalizujących się w malarstwie i rzeźbie a po jakimś czasie powstała pierwsza na Węgrzech „Wolna Szkoła Artystyczna”. Utrzymywana jest teraz z funduszu kulturalno - oświatowego kopalni. Szkoła ta rozbudowuje się ciągle. Są w niej obecnie działy: malarstwa, rzeźby, grafiki, ceramiki, wykłady z historii sztuki i anatomii. Nauka w szkole trwa trzy do czterech lat. Szkoła posiada duże i ładne pracownie. Wiek uczących się (przeważnie) od osiemnastu do trzydziestu lat, ale są też górniczy z czwartym i piątym „krzyżykiem”, którzy spotkali się przy sztalugach ze swoimi dziećmi. Szkoła rozwija się tak dobrze, że otwarto również specjalne kursy dla dzieci. Szkoła urządza swoje wystawy, w roku 1950 wystawę taką zwiędziło trzy tysiące osób.

Do tej szkoły wybrałem się dzisiaj wieczorem. W pracowni malarzkiej wszystkim z miejsca rozwiązują się języki. Oglądamy rysunki, szkice do nowych obrazów i obrazy. Zatrzymujemy się przy większej kompozycji, pokazującej brygadę górniczą „na przodku”. Twórca tego obrazu stoi skromnie na hoku, ale czujnie śledzi naszą rozmowę i wyraz naszych twarzy. Dwaj starzy górniczy gadają z ożywieniem, jeden z nich, ocenia obraz nie tyle wg kryteriów malarzskich, co górniczych: „patrzyć gdzie te narzędzia wymalował, ten kilof nie może tu leżeć. Nim by się obrócił wszystko wpadło by pod nogi, i lampka jest źle umiejscowiona”. Drugi górnik zaśmiał się — „teoretycznie to ty dobrze wiesz, gdzie co leży, ale w praktyce, to wszystko robisz tak samo, jak na tym obrazku, nie?”. Wszyscy się śmieją z tego rozdziewku między teorią a praktyką. „Zaczyna się rozmowa o malarstwie polskim, o którym młodzi górniczy nie wiedzą. Z ich strony pada tylko jedno nazwisko: Matejko. Z współczesnych, żyjących malarzy polskich nie znają ani jednego. Kiedy mówię, że w lutym 1951 roku zostanie otwarta w Budapeszcie wystawa współczesnego malarstwa polskiego, obiecują sobie wyczerkę do Budapesztu. Niektórzy mówią, że widzieli w muzeum sztuk pięknych w Budapeszcie obraz Ma-

(Dokończenie na str. 9-1)

Gazetka gminna

„I tak nie zapłaci?”

Mieszka w Kostrzewie niejaka Parafianka Marianna. Parafianki przybyli do Kostrzewy (pow. Reszel, woj. olsztyński) w r. 1947 z Podlasia. Przywieźli ze sobą dwa dobre konie, cztery sztuki bydła, pięć świni, sześć owiec i 35 sztuk gęsi i kur oraz kilka metrów zboża i maki. Nie było powodu, aby mieli powtarzać ciężką drogę pierwszych osadników. Mogli od razu stać się pełnowartościowymi gospodarzami w nowej gromadzie. Ale Parafianki pojeźdźli w inną stronę, w stronę spekulacji. Rządzi w tym domu Marianna, słuchają jej dorosłe dzieci i mąż, który „jest do niczego”. A jaką obrała politykę Marianna? „Na cudzych ugorach robić nie będę”. Zdawałoby się, że takiej polityki nie można wprowadzić w czyn ani ze względu na własny interes ani ze względu na prawo. Otóż, okazało się, że „własny interes” a obowiązki chłopca wobec państwa mogą chodzić razem, kiedy nasza władza ludowa nie dopatrywa, a co gorsze nie posłucha woli gromady. Marianna zapolytykowała w ten sposób, że znikły konie i 3 krowy, została tylko jedna i trzódka owiec. 14,5 ha została w ugorze, „pod łaki”. Chłopi się łakomią, więc za wypas albo siano z łak bierze Marianna zboże i odrodek.

Ma co jeść, ma tyle uprawy (cu-

dzyli rękami), ile wymagają domowe potrzeby. A nie orze i sieje, nie produkuje towarowego zboża (14,5 ha), nie ma krów i koni, na czym można by jej dochodzić. Bystra ta Marianna. Od dwóch lat Rada Gminna wykreśla ją z listy podatników i skupu bo „I tak, nie zapłaci”. Trup ekonomiczny.

Dziwnie wydaje się nam, sąsiadom, to rozumowanie.

Marianna przecież szumuluje drobiem. Wozi, jeździ, kręci się. I nie tylko idzie o to, że zaraziła nam drob partią swojego handlowego, a chorego drobiu. Idzie nam o to, że szumuluje, że nie uprawia ziemi, że uprawia chytry wyzysk, że cuchnie reakcyjną plotką, a kręcąc się po świecie uchyla się spod naszej kontroli.

Dziwny się dlaczego nasza interwencja w Gminnej Radzie nie odniosła skutku. A była przecież uchwała walnego zebrania gromadzkiego, podpisana przez prezesa koła ZSCh, radnego i sołtysa. Utonęła w gminie, podobno dlatego, że nie lak powinna być napisana”. Znaczący to, że chłopom nie wolno pisać jak umiej, kiedy wyrażają wolę zbiorową. Ale wolno Mariannie trzymać ziemię w ugorze i tuczyć się paszożytno, nierobowo i spekulantowo?

Władysław Nadcierpliw

W białostockiej wsi

W dniach Oświaty, Książki i Prasy dowiedzieliśmy się, że województwo białostockie prześcignęło w ostatnim roku w penerumacie gazet województwo łódzkie. Czytelnicтво prasy wzrosło prawie dwukrotnie.

Ten gwałtowny rozwój wskazuje na coś więcej — na przełom. Białostocka wieś przebudziła się. A była to wieś w przedwojennej Polsce B jedna z najbardziej upośledzonych. Gniotł ją dwór i folwark, gniotła „szlachta” kulacka, całe dwudziestolecie rozpręgało stary przemysł białostocki, trzydzieści tysięcy tkaczy wróciło na wieś! Nie było małego rolnika obłożonego sekwestrem, gielda wojewódzka do połowy zniżyła ceny na zboże. Krzewił w się białostockim kultu i analfabetyzm. Podczas okupacji reakcja zagnieździła tutaj wiele band zbrojnych. Tu po wywołaniu najdłużej kryty się jej niedobitki, terroryzując, grabiąc i mordując. Tu przemysł nie mógł od razu ruszyć siedmiomilowymi krokami. Ale lata naszej rewolucji i budownictwa sprawiły, że tam, gdzie baza (regionalna) jeszcze nie ruszyła z posadzi, wychodził jej już naprzeciw nowa nadbudowa, rewolucja w kulturze.

Pod wrażeniem wiadomości o dwukrotniej zwiększonej penerumacie gazet szukam w listach chłopów z białostockiego odbicia tych przemian. Oto pierwszy z brzegu list, list z tytułem „Kulak został usunięty ze stanowiska sołtysa”.

Sołtysiem — był „szlachetka”, miał ukrytą ziemię, nie płacił z niej podatku, miał wiele innych a podobnych „zalet”. Teraz — wreszcie — gromada wybrała nowego sołtysa małego, „ten będzie z nami i dla nas pracował”.

Olo pisze 14-letni chłopiec. O kim? O „jogomosciu”. Wsiurze, który — proszony — nigdy nie weźmie na wóz chłopca ani dziewczynki małych chłopów, kiedy jedzie do gminy, a mały spieszko do zbiorowej szkoły (6, 7 klas) a oddalonej o 4 km, „Zadufał” bogacz sepieni: — Ja choleła gospodarza, darmo nie wożę. A dziadów, co się chcą uczyć, nawet za pieniądze Z długiego palokki!

Chłopczek prosi redakcję o zamieszczenie informacji, aby inni jego koledzy w białostockim na takiego „dobrodzieję” znaleźli podobną radę, jak w jego wsi. Oni postawili sprawę przed komitetem rodzicielskim. To są przyczynki, ale dlatego ukazują, jak nawet drobne sprawy przestają uchodzić płazem. Klasowy zryw i klasowa ambicja małych chłopów objawiają już bardzo rozwiniętą wrażliwość. Nojciech Pawelec

Coś takiego...

Instruktor rolny na gminę Mszana Dolna mieszka sobie we wsi Łętowe. Ma tam na siedmiu ha okopowe i zbożowe, na dwóch ha sad i pasiekę oraz na szesnastu ha pachnące łaki, razem jak obszył 25 ha.

Z takiej to praktyki czerpie natchnienie do instruowania chłopów w całej gminie. Cóż mówią chłopcy o praktyce pana agronoma? Ze widać w niej propagandę wielkiej produkcji rolnej, ale łak samą, jaką robili obszarnik i robi jeszcze kulak. Dlaczego nie widzi tego Rada Gminna?

Ma agronom w Łętowy swój własny park maszynowy: dwie młocarnie, motor spaliny, siewnik, kariat, kartoflarkę, kilkanaście plugów i bron oraz młynek do czyszczenia i mielenia zboża. Co na to chłopcy? Ano, pan agronom uczy, że maszyny dobra rzecz ale nie tam, gdzie nasz SOM ale tam, gdzie twój dom. Dlatego nie widzi tego Rada Gminna?

Był skup zboża — agronom dał... 10 kg. Była akcja pomocy sąsiedzkiej, agronom nie udzielił pomocy. Była kontrakcja świń, agronom nie kontraktował. Odstawia się mleko do mleczarni, agronom ani kropki mleka, a cztery ma krowy.

Co na to chłopcy? Hańba i tyle. A Rada Gminna 25 ha i park maszynowy, czyli kulaka co się zowie, posadziła na urzędzie i płaci mu pensyjke. Hańba i ty!

Jakub Korecki

Konkurs

Ministerstwa Oświaty, Związku Nauczycielstwa Polskiego i Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia” — na książkę o tematyce szkolnej dla dzieci i młodzieży.

W związku z konkursem ogłoszonym w m-cu lutym 1952 r. Komitet Organizacyjny Konkursu informuje:

1. Utwór konkursowy może dotyczyć okresu międzywojennego, okupacji i okresu po wyzwoleniu.
2. Utwór konkursowy winien być napisany prozą (powieść, pamiętnik, zbiór nowel, opowiadań itp.).
3. Utwór konkursowy winien zawierać najniższe ok. 100 str. maszynopisu z marginesem i interlinią.
4. Tematyka utworu może dotyczyć szkolnictwa wszelkiego rodzaju (ogólnokształcącego, zawodowego, różnorodnego kursy itp.).
5. Termin nadsyłania prac: do 15 września 1952 r. Adres: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa, ul. Spasowskiego 4.
6. Utwór konkursowy winien być dołączony gdzieś nie publikowany.
7. Prace nadsyłane należy opatrzyć godłem. Nazwisko, imię i adres załączyć w zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, co egzemplarz.
8. Nagrody przewiduje się: pierwsza — 6.000 zł, druga — 3.000 zł i trzecia — 2.000 zł.
9. Utwory konkursowe winny być napisane na maszynie, w wyjątkowych okolicznościach mogą być nadane jako-ko bądźże czytelny, staranny rękopis. Pożądane są egzemplarze trzy. W razie trudności wystarczą jeden.
10. Do utworów nagrodzonych lub zakwalifikowanych do druku „Nasza Księgarnia” zastrzeżona sobie pierwszeństwo.
11. Prace konkursowe zwracane nie będą.
12. W skład Jury wejść przedstawiciele instytucji państwowych i związków,

JAN KOSICKI

Sprawa konia

(czyli rozmowa z zadowolonym a niegłupim)

LIST PIERWSZY

Poważam się nadmienić, że czytałem w gazecie artykuł p.t. „Bronieć nas przed wyzyskiem!” Tak wolali motorolnicy ze Stanisława Dolnego pod Kalwarią, bo musieli płacić kulakom 180 zł i 6 miarek owsa za dzień pracy dwóch koni na wynajem. Jąbym bardzo prosił tych motorolnych, żeby napisali, ile godzin pracują wyzyskiwacze czyli bogacze u motorolnych? O której zajeżdżają do orki, ile jutrują i kiedy schodzą z pola? Bardzo bym chciał wiedzieć, bo sam jestem motorolnym chłopem i takie same myśli miałem przed dwoma laty. Kiedy tylko zapotrzebowalem konia, to cały grunt ruszał się od moich przekleństw, bom w oczy bogaczom mówił: gdzie podziwiewacie przeklepi wabiarze nasze ciężkie pniadkę? Wtedy za dzień pracy brali 120 zł. Nie spałem w nocy tylko myślałem ci i jak zrobić, aby nie chodzić do tych reżymieszko a kupić sobie konia. Pojadę wtedy do ludzi do roboty, dostanę owies i siano dla konia, jadło do brzucha, a gotówkę do ręki i za dwa lata sam będę bogaczem Złożyło się wreszcie tak, że oddałem konia do spółdzielni, a w rękę mam 60.000, babcia akurat oddała silnego wiepra i w rękę nowe 85.000 a w domu miałem już odłożone 90.000. Kupiłem więc skapinę, plug, bronę, stary wóz i od sąsiada wypożyczyłem znośną uprzęż. Legalna to była sprawa, ino koniec miała zły, co poważę się opisać w drugim liście, jeśli redakcja będzie sobie życzyć.

ODPOWIEDZ.

Oczywiście, czekamy na dalszy ciąg Waszego opowiadania. „Legalna sprawa”, która ma „zły koniec” — bardzo to ciekawe. Bo kiedy z Was kulacy lupili skórę była to „nielegalna sprawa” — prawda? Ale kiedy Wyście poszli ich śladem i z miarą zostania bogaczem spałak Was zły koniec. Czy dlatego, że była to „legalna”, czy dlatego, że „nielegalna” sprawa? Opowiadając dalej, weźcie pod uwagę nasze pytanie?

LIST DRUGI

Poważam się na pytanie redakcji nadmienić w krótkości, że nie takie złoilo jak się świeci. Co się też i pokaze. Pierwszego dnia ustala mi skapina na środek pola, mówię wtedy do gospodarza: przynieś owsa, bo masz ziemię twardą i koń się zamęczył. Przyniósł, koń gryzł i gryzł, ja też spożyłem a bogacze, co oraly drugiemu sąsiadowi śmiały się z mojej konkurencji. Na drugi dzień wstałem już o 3-iej z rana, dałem skapinę wody, siano, ocyściłem, wracam do „żby, patrząc na zegar, w pół do piątej, znowu chrapie wygodnie pod pierzyną a tu nie ma już czasu położyć się przy niej. Wkładam więc zbroję rolną na wóz i myślę, nie lepiej byłoby jeszcze poleżeć lubo przy kobiecie do 6-iej, a potem bym poszedł do bogacza na najem, dałby mi jeść i ze 25 zł. Ale trudno, chciałem być bogaczem, trzeba jechać. I przyjechałem, orzę a grunt kamienisty, wrąłem plug. Czym teraz orać? Wziąłem plug na ramię i w dyrdy 2 km. do kowala. A potem od sąsiada, pożyczylem drugi plug i do orki. Znowu więc nie stałem się bogaczem. Kowalowi 75 zł. za grzeź i naprawę, a sąsiadowi za pożyczkę też 75 zł. Trzeciego dnia wozilem jednemu gospodarzowi gnoj, skapa pogubiła podkowy, kowal wziął 40 zł. Znowu diabła mialem. A potem trzy tygodnie lały deszcze i tyż nie zarobiłem. Oczerniałem — myślę sobie — bogaczy i wyzyskiwaczy, a co ja mam z tego? Jaki jest rachunek? Wstawać o 5-iej, wracać o 10 wieczór, odtóż napierw albo pożycz na konia, opłacać potem Ubezpieczalnie, podatek miesięczny od konia w gminie, kupuj futrowanie przez, całą zimę a płac paskarską cenę „odkupu” za metr owsa, płac reperacje wozu i pluga i jeste z tym wszystkim — wyzyskiwacz. Diabli mnie podkusił z tym koniem.

ODPOWIEDZ

Wy już nie chcecie „oczerniać” bogaczy, a bogacze z Was się śmieją. Wyście sięgnęli po rozum do głowy i widziacie, że diabli Was podkusił z tym koniem, a kulacy — uważacie — bez kalkulacji jadą i jadą oraz na cudzym polu?

Co Was różni — nie zastanawialiście się nad tym? Czy dla bogacza ciężka jest inwestycja na konie i „zbroję rolną”? Nie! Ciężkie są wydatki amortyzacyjne (naprawa pluga, wozu itp.). Nie! On płaci owies „odkupu” po paskarskiej cenie! Nie! On ma swój owies i żyto, on, nie kto inny, śrubuje paskarskie ceny u zaleźnych tak jak Wy. On nie zawsze bierze gotówkę i miarki owsa, odnajmem spasionę parę koni kupuje sobie często odrodek, aby mu rosło w polu cudzymi rękami a sam mógł spać, dokąd chce. Gdzieście to widzieli kulaka na cudzym polu od 3-ciej rano do 10-iej wieczór? Przecież sami z jego imieniem wiązaliście coś wręcz przeciwnego. Bez konia a po staremu uważaliście, że wypadał Wam pójść do kulaka z prośbą o pracę. A zróbcie taki rachunek Wy dostajecie za całodzienną pracę u bogacza 25 zł. On zaś u „sąsiada” 180 zł. Konie bogacza dostaną 6 miarek owsa. Czyli koszt „maszynny” opłacony osobno, a za pracę kulak bierze o 155 zł. więcej od Was. Tak, właśnie dlatego, że ma „maszynny” (smoki nie konie), której Wy (nawet jednej skapy) na 2 ha utrzymać nie możecie,

A wiecie co oznacza 180 zł? Oznacza wartość połowy plonu z pola obrabionego za tę sumę. Cóż więc wyraża ten dochód za rzekomą pracę? Wyzysk! Połowa plonu — to wyzysk.

Chcieliście zostać bogaczem, trybem „legalnej sprawy”: kupując konia, zbroję rolną i zaczynam orać u innych?

Nie wyszło Wam z przyczyn, jakie wyżej podałem? Ale czy takielkiem nie wyszło? Opisałście zaledwie 4 tygodnie sprzed 2 lat. A w ciągu owych dwu lat nie padaly wciąż deszcze i nie lamaly się co tydzień plugi. Zarobkwalicie, trzymając się ceny, wyśrubowanej przez kulaków? (tych co mają dobrą „maszynę”). Tej ceny, która spowodowała list zbiorowy motorolnych ze Stanisława Dolnego „Bronieć nas przed wyzyskiem”? Stanisław leży pod Kalwarią Zebrzydowską, dokąd chodzą na odpusty kulacy. Oglądają stacje meki ukrzyżowanej i wracają do „pracy”, która zabiera pół plonu sąsiada. Oni to robią z rozmachem, szeroko i stale, wyście na tej drodze działali z przermami, ze stratami i przy dużych (dla motorolnego) kosztach własnych. Ale zawsze i wszędzie, gdzie wyciągnięście kulacką cenę w ślad za wami szło ludzkie, oskarżające słowo: wyzyskiwacz! Bo 180 zł — to połowa plonu, to wyzysk!

Cóż Wy na to?

LIST TRZECI

Poważam się wspomnieć, że jestem biedakiem motorolnym. A że mam konie w posiadaniu to faktycznie wolałam na mnie, że jestem bogaczem i wyzyskiwaczem. A nie jestem bogaczem, choć mam konia i czekam orki.

Nie dlatego też opisałem, jak to ze mną było, żebym stał w obronie bogaczy, tylko dla prawdy rzeczy i z ciekawości doświadczenia, kogo właściwie chłopci motorolni nazywają wyzyskiwaczami.

Czy tych ludzi, którzy posiadają konie? Jeżeli tych to jaśz, gdyż w naszej gromadzie jest przeszło 30 koni, a znajdują się w rękach takich gospodarzy, którzy mają od 1 do 3 hektarów pola ornego i oni to właśnie pojadą o godzinie pół do szóstej wynająć się do orania a przyjadą z powrotną o 9-iej wieczór. Chłopi zaś ze Stanisława Dolnego, którzy by takich wynajęli, spać mogą długo i jeszcze mają czas na mite figle małżeńskie, a potem wolać „Bronieć nas przed wyzyskiwaczami”!

ODPOWIEDZ

Jeśli Was dobrze rozumiemy „legalna sprawa” Wasza oraz innych w waszej wsi motorolnych przedstawia się tak. Motorolni chcieli się obronić od wyzysku kulackiego. Obronić się, to znaczy nie musieć wynajmować od bogaczy koni do orki, siewu i żniw. To znaczy nie płacić za tę „pracę - przysługę” p o l o w ą plonów, nie dać wciągnąć się w odrodek i zepchnąć w niewolę kulacką. Dotąd legalna sprawa. Dotąd — rzecz można by — rosło napięcie do walki klasowej. A dalej? Rozwiązaniem było wiele.

Jedno — zorganizować prawdziwie społeczną pomoc sąsiedzką. Wszak ustawa o tej pomocy ma na celu ochronę biednych chłopów. Wykonując ją nauczylibyście bogaczy szanowania obowiązków, jakie państwo na tę klasę nakłada właśnie z tytułu jej bogactwa oraz dla neutralizowania jej wyzysku. Kulackie konie wiechałyby na wasze pola, ale nie za połowę plonu.

STEFAN WALICKI

Z NOTATEK EKONOMISTY

Rzucmy okiem na statystykę dostaw rynkowych mięsa w przeleżeniu na jedno gospodarstwo chłopskie. Zauważymy wtedy ogromnie ciekawą rzecz. Okazuje się, że np. w 1951 roku gospodarstwa biedoty wiejskiej (do 2-ch ha), jak również gospodarstwa małych chłopów (od 2 do 5 ha) przodowały w dostawach mięsa (licząc w kg na hektar), dając znacznie więcej niż gospodarstwa średniorolne (od 5—10 ha). Tak np. gospodarstwa do 2-ch ha w województwie poznańskim dostarczyły w r. 1951 przeciętnie ponad 50 kg z ha, podczas gdy gospodarstwa od 2—5 ha — około 30 kg z ha, gospodarstwa od 5—10 ha tylko ok. 20 kg z ha itd.

Lepsze wyniki gospodarstw drobnych i małych w porównaniu do średnich wynikają z faktu, że gospodarstwa drobne dysponują (zwłaszcza w okęgach mniej uprzemysłowionych) najcenniejszym dziś kapitałem w rolnictwie — wolnymi rękami do pracy i jeśli się pracę biedoty lepiej zorganizuje i okaże jej większą pomoc — to potrafi dać znacznie więcej niż dziś daje towarów na rynek.

Drobnym gospodarstwom przejawiają jednak różną aktywność w różnych województwach. Jeśli porównamy bowiem dostawy rynkowe gospodarstw do 2 ha w poszczególnych województwach, to zauważymy, że na jedno gospodarstwo w województwie tego typu wypadło przeciętnie w r. 1951: w województwie szczecińskim 192 kg dostaw rynkowych mięsa, w województwie olsztyńskim — 164 kg, w gdańskim — 99 kg, podczas gdy na przykład w woj. zielonogórskim tylko 86 kg, poznańskim — 56 kg, w krakowskim (silnie uprzemysłowionym) — tylko 22 kg. Przyczyną tych różnic w towarowej podaży mięsa ze strony gospodarstw karłowatych i małych nie są trudne do odszyfrowania. Brak paz

Drugie — w oparciu o organizację pomocy sąsiedzkiej można było korzystać z traktorów i maszyn SOM-u i POM-u.

Trzecie — można było poszczególne grupy kontraktacji albo wszystkie kontraktacje połączyć w jedno pole zrzeszenia uprawowego, jak np. to uczynili motorolni chłopcy w Zabnie nad Sanem... Można było pójść jeszcze dalej, wywołując się od wyzysku i małej produktywności — do spółdzielni produkcyjnej, jakich w Polsce są już tysiące.

Prawda, że dzieje „legalnej sprawy” Waszej i sąsiadów motorolnych zaczęły się grubo dawniej, przed dwoma, trzema laty. Wówczas — powiecie — nie doceniali jeszcze człowiek sąsiedzkiej pomocy, jeszcze nie było POM-ów, a SOM akurat nie miał bogatej „zbroi rolnej”. Jeszcze spółdzielnia produkcyjna „nie szła do głowy i serca”... Załóżmy. Wynik więc był taki, że sięgnęliście po czwarte rozwiązanie, najbardziej tradycyjne: mieć swojego konia! A było już za co kupić. Bo w kraju, w którym nie ma już obszarnika, labrykanta i bankiera, w którym toczy się walkę z pozostałymi elementami kapitalistycznymi, w którym ich odradzanie się jest uniemożliwione, a manewry ograniczone i zwężone, w którym ziemię mają chłopcy, a buduje się wielki przemysł i socjalizm, bo rządzi klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem — motorolny mógł uzyskać wiele i od razu. Ale wróćmy do koni.

Własne konie wyparły kulackie, ale na 2—3 ha okazały się nie opłacalne. Aby zrównoważyć ich koszt, hajda z nimi do wynajmu. A ta praca da jeszcze dorobek. Nie tak to szło? Ale u kogo szukaliście pracy i zarobku: u kulaka? Ma konie. U średniaka? Zatem prawie u takich samych motorolnych, lecz wedle taksy „sąsiedzkiego rynku”, poza pomocą sąsiedzką, czyli wedle kulackiej kalkulacji. I tak to wyjeżdżacie rano, a wracacie wieczorem, w bilansie zysków i kosztów na czysto biorąc mniej i rzadziej, niż kulacy, ale zawsze pozabijając również małego motorolnego połowę plonu. Dlatego nie w tym rzecz, że chłopcy w Stanisławie Dolnym mogą pospać dłużej, kiedy im orzą wynajęte konie. Rzecz w tym, że muszą wynająć i płacić połowę plonu. Otóż czy muszą? Nie muszą! Nie muszą oni tak tracić połowę plonu, jak nie musicie wy motorolni zagrabiać u innych motorolnych połowę plonu.

Gdzie wyjście? W trzech pierwszych rozwiązaniach. Jedynie kiedy je wprowadzicie w czyn, będziecie mogli z czystym sumieniem powiedzieć, że „nie stajecie w obronie bogaczy” i że to fałsz, kiedy Wam wytykają wyzysk.

LIST CZWARTY

Poważam się uwiadomić redakcję, że podalem na zebranie gromadzkie Wasze listy i zadziwienie wielkie powstało, bo ludzie powiadają, że z koniami było tak, jak pisałiscie, a wcale się nie znamy, to skąd tak można wiedzieć. Wystaliśmy list do tych chłopów pod Kalwarią, bo wzywamy ich do wpolizawnictwa, która wiosna przejdzie wejście na nową drogę i która lepiej. Pierwszy u nas rzecz stało się zaorianie ugorów. W 12-tu i 12 koni zarażaliśmy ugor pod dobre uprawy, bo będzie owies, lisenka, jęczmień browary i gorczyca czarna. Ja mam własnej ziemi 2,5 ha. A tu mi dojdzie prawie hektar takich upraw! Jak co będzie nowego, poważę się zaraz napisać.

Jan Kosicki

BRONISŁAW CHĘCINSKI

DOKĄD TAK WKOŁO WOJTEK?

W przetwórni GS-u, kierownik świetlicy nijak się nie mógł z pracy wyliczyć, na zebranie zesłał się rada: — On nic nie robi, powiada.

Świetlica senna, nie ma w niej życia — gdzie jest występ, co miał być dzisiaj? Nie ma baletu, nie ma ping-ponga, to świetlicyom prawom uraga, nie ma odczytów, ni pogadank... Trzeba raz wreszcie zerwać z tym stanem! Przjdzie i w pracę włoży tu duszę, kierownik nowy, człek z animuszem.

Pełen energii, pełen zapalu, nowy kierownik odstygł pomalą, bowiem go zaprzęgi do innej pracy, na własną rękę biurowy kacyk.

Świetlicowego nie ma w świetlicy, w kancelarii spinacze liczy. Jeśli robota nagła wybuchnie, zatrudnia go też kierownik kuchni. Właśnie plan imprez miał robić teraz — on w stołówce szklanki wyciera. Gdy wreszcie jakiś wieczór ogłosi, musi herbatkę gościom roznieść.

Minał już kwartał, milja pół roku, w naszej przetwórni, w świetlicy spokój, nie ma baletu, nie ma ping-ponga, jak świetlicyom nowy wyglada? Znow po staremu kierownik świetlicy nie potrafił się z pracy wyliczyć, na zebranie zesłał się rada: — On nic nie robi, powiada.

Świetlica senna, nie ma w niej życia, gdzie jest występ, co miał być dzisiaj? Nie ma baletu, nie ma ping-ponga, to świetlicyom prawom uraga i t. d.

POMNIK JANICKIEGO

Wielkiemu synowi Ziemi Paluckiej — Klemensowi Janickiemu mieszkancy wsi rodzinnej w Januszuwie pod Żninem postawili pomnik, którego zniszczył podczas wojny okupant.

W roku ubiegłym mieszkancy Januszkowa wraz z kierownikiem szkoły Pilsarskim wysunęli projekt postawienia nowego pomnika, projekt został zrealizowany.

Odstonięcie pomnika nastąpiło dnia 4 maja w „Dniach Oświaty”, o czym Komitet Wykonawczy zawiadania Redakcję prosząc o zamieszczenie na łamach tygodnika wspomnień o życiu i działalności chłopca - poety.

Za Komitet Wykonawczy (Edwin Kazmierki) sekretarz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.

Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80. Adres wewnątrzny 91, 63. REDAKCJA NIE ZAMOWIYNIYCH REKOPISOW NIE ZWRACA. Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Płac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—, półrocznie 16,— zł; rocznie 36,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6842/110 z naznaczeniem „za tyg. „Wies”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 8/5 3-B-17468